

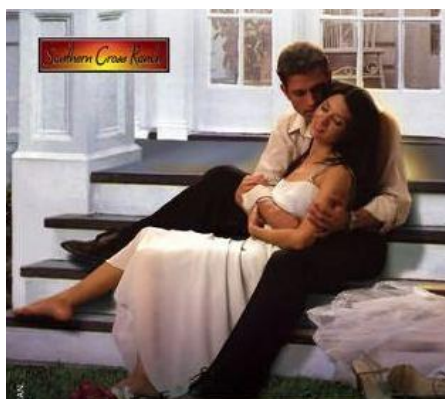


Barbara Hannay

Tajemnicza randka

Tytuł oryginalny: The Blind Date Surprise

*Miniseria Krzyż południa
część druga*



PROLOG

Z działu „Kącik porad” w gazecie „Mirrabrook Star”
(nakład 2500 egzemplarzy):

Droga Redakcjo!

Nie mam partnera, a na tym naszym odludziu samotność jest ciężka do zniesienia. Do najbliższego kina i na dyskotekę mam dwieście kilometrów, więc trudno poznać kogoś ciekawego, bo jak i gdzie? Co prawda spotykałam się parę razy z różnymi mężczyznami, lecz za każdym razem kończyło się to bolesnym rozczarowaniem. Jakiś czas temu poznałam przez Internet przemiłego, inteligentnego mężczyznę o dużym poczuciu humoru i chyba się zakochałam. Chcę pojechać do jego miasta i zobaczyć się z nim, ale przez całe życie zarzucano mi, że działałam zbyt impulsywnie, zupełnie bez zastanowienia. Dlatego tym razem postanowiłam zasięgnąć porady.

Samotna z Mirrabrook

Droga Samotna z Mirrabrook!

Skoro samotność rzeczywiście dokuczyła Ci tak bardzo i skoro Twój wirtualny romans rozwija się na tyle dobrze, że pragniesz zobaczyć tego mężczyznę, to czemu miałabyś tego

nie zrobić? Zapewne trochę się obawiasz, czy realna osoba Cię nie rozczaruje, ale jeśli rzeczywiście zależy Ci na poważniejszym związku, musisz zmierzyć się z rzeczywistością.

Oczywiście należy zachować pewną ostrożność przy umawianiu się na randkę z nieznanym, szczególnie w dużym mieście, którego się nie zna. Najlepiej, gdyby udało się zorganizować spotkanie we czwórkę, w towarzystwie jakiejś innej pary. Jeśli to jest niemożliwe, pamiętaj, by umówić się w miejscu publicznym o niezbyt późnej porze. Powinnaś mieć w mieście zaprzyjaźnioną osobę, której powiesz, dokąd poszłaś i która będzie przez cały czas osiągalna przez komórkę. Zaprogramuj swój telefon tak, byś mogła do niej jak najłatwiej zadzwonić.

Kiedy już zadbasz o te niezbędne środki ostrożności, śmiało idź na randkę. Nie ma żadnej prawdy w starym powiedzeniu: „Siedź w kącie, znajdą cię”. Szczęście uśmiecha się do tych, którzy wychodzą mu na spotkanie.

Życzymy powodzenia!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O rety, różowe džinsy! Naprawdę różowe!

Annie McKinnon wołała nie myśleć, co powiedzieliby jej bracia, gdyby ujrzeli ją tak ubraną. Ba, nie tylko jej bracia - co powiedziałyby ktokolwiek z małego, sennego, porządnego miasteczka Mirrabrook? Od trzeciego roku życia biegała, jak wszyscy, w zwykłych niebieskich džinsach.

Nigdy w różowych.

I nigdy przedtem nie włożyła do džinsów sandałów na szpilkach.

Nie znajdowała się jednak w środku australijskiego buszu, tylko w samym sercu tętniącego życiem wielkiego miasta, w holu eleganckiego hotelu w Brisbane. Oprócz zabójczych szpilek i obcisłych różowych biodrówek miała na sobie modną krótką bluzeczkę bez rękawów i w rezultacie czuła się nie jak dziewczyna z głębokiej prowincji, tylko jak niedoszła gwiazda muzyki pop. Oto do czego dochodzi, gdy człowiek kieruje się radami przyjaciół!

- Lepiej słuchaj tego, co ci mówi Victoria - poradziła Melissa. - Nikt nie zna się na modzie lepiej od niej. Jest prawdziwą wyrocznią w tych sprawach.

Annie uwierzyła Melissie, z którą zaprzyjaźniła się jeszcze w szkole średniej. W końcu Mel wiedziała, co mówi, przecież znała Victorię doskonale, bo na spółkę wynajmo-

wały mieszkanie. Annie zdała się więc na opinię ich obu, ponieważ w odróżnieniu od niej urodziły się i wychowały w dużym mieście, dzięki czemu orientowały się lepiej, jak powinna wyglądać podczas takiego spotkania.

Pod przewodnictwem Victorii trójka dziewcząt udała się na zakupy i Annie bardzo szybko przekonała się, jak potrzebna jej była pomoc kogoś, kto naprawdę znał się na rzeczy. Ona natychmiast skierowała się ku wieszakom z wieczorowymi kreacjami, ale Victoria z dezaprobatą potrząsnęła głową.

- W żadnym wypadku! Nie chcesz przecież wyjść w jego oczach na taką, która na siłę stara się zrobić na nim wrażenie, prawda? Nie masz być przebrana, tylko ubrana. Jeśli przesadzisz, możesz go spłoszyć.

Annie rzuciła tęskne spojrzenie na bogato zdobione, cudownie kobiece sukienki i dała się zaprowadzić do stoiska z džinsami.

- Nigdy nie wolno lekceważyć džinsu - oznajmiła z namaszczeniem Victoria. - Czy to spodnie, czy kurtka, czy sukienka, zawsze będzie wyglądał świetnie. Oczywiście rzecz musi być dobrze uszyta.

- Ale ja przez całe życie biegam w džinsach, podobnie jak wszyscy moi sąsiedzi. Damien wie, skąd jestem, więc pomyśli, że nie umiałam się ubrać i przyjechałam, jak stałam.

Victoria po raz pierwszy spojrzała na nią z pewnym uznaniem.

- Słusznie. - Nagle ją olśniło. - Mam! Różowe džinsy! Będą idealne. Dobierzemy do nich jakiś fajny top. - Z werwą zaczęła przerzucać rzeczy na wieszaku, wreszcie triumfalnie wyciągnęła białą jedwabną bluzeczkę bez rękawów, prostą, pozbawioną wszelkich ozdób. - I co wy na to?

Annie obawiała się, że w białym i różowym będzie wyglądać jak wielkie chodzące lody, ale nic nie powiedziała. W przymierzalni doszła jednak do wniosku, że Victoria chyba miała rację. Bluzeczka i spodnie robiły wrażenie, a przy tym były znacznie wygodniejsze od wieczorowej sukni.

W kwestii szpilek nie uległa już tak łatwo.

- A jeśli Damien jest niski?

- Na tym zdjęciu, które ci przysłał, wydawał się całkiem wysoki - wtrąciła Mel.

- Przecież wiesz, jak zdjęcia potrafią kłamać - odparła Annie, której ta uporczywa myśl przez wiele nocy spędzała sen z powiek.

- Jeśli jest niski, to przy twoim wzroście i tak będziesz wyższa od niego, niezależnie od tego, jakie buty włożysz. Równie dobrze mogą to więc być szpilki.

Zmieniła taktykę i próbowała je przekonać, że nie może wydać dwustu pięćdziesięciu dolarów na buty składające się z cieniutkiego obcasa, podeszwy i dwóch paseczków skóry, bo potem może jej nie starczyć na bilet powrotny, lecz Victoria przytomnie przypomniała o istnieniu kart kredytowych. Annie nie pozostało nic innego, jak ulec.

Ubrana pod dyktando Victorii znalazła się więc w foyer eleganckiego hotelu „Pinnacle” i wysłuchiwała ostatnich przyjacielskich rad, ponieważ dziewczyny oczywiście ją odprowadziły. Zaraz miała wsiąść do windy i wjechać na dwudzieste siódme piętro, by w restauracji „La Piastra” spotkać Damiena.

Ooooch! Na samą myśl o tym jej serce zaczynało wyznaczać dziwne harce. Tak, doskonale wiedziała, że nie powinna żywić aż takich nadziei wobec kogoś, kogo nigdy

przedtem nie widziała, lecz nic nie potrafiła na to poradzić. Przeleciała tysiąc kilometrów z północnej części Queenslandu tylko po to, by ujrzeć Damiena i bardzo, ale to naprawdę bardzo chciała, by ich pierwsza randka poszła po jej myśli.

Na pewno się uda. Musi się udać.

Wszystkie internetowe pogawędki w ciągu minionych sześciu tygodni wyraźnie świadczyły o tym, że się znakomicie dobrali. Oboje kochali psy, muzykę etniczną, książki i filozoficzne rozważania - na przykład, czy istnieje przeznaczenie, czy też może wszystko dzieje się przypadkiem, i czy zwierzęta nie są aby o wiele szczęśliwsze niż ludzie.

Do tego oboje uwielbiali wszystko, co włoskie, dlatego właśnie umówili się we włoskiej restauracji.

Każda rozmowa przekonywała Annie do niego coraz bardziej, a kiedy przysłał jej mailem swoje zdjęcie, przepadła z kretesem. Nic, tylko go zjeść! Miał spalone słońcem włosy surfera, niebieskie, jakby rozmarzone oczy, uroczy, nieco krzywy uśmiech i usta, o których nie mogła przestać marzyć. Oby jej podobizna też mu się spodobała, ponieważ już nie miała najmniejszych wątpliwości, że znalazła swoją drugą połowę.

Z bijącym sercem czekała na windę, słuchając ostatnich rad przyjaciółek. Była sześć minut spóźniona, gdyż zdaniem Mel i Victorii kobieta nie powinna przychodzić na randkę punktualnie, zdradzając tym samym, jak jej zależy.

- Pamiętaj, nie traktuj tego aż tak poważnie. Postaraj się rozluźnić i dobrze bawić.

- I nie pij za dużo!

- Obserwuj uważnie, jakie gesty będzie wykonywał. Jeśli podobne do twoich, to jesteś na dobrej drodze.

- Uważaj, jeśli skrzyżuje ramiona. To znaczy, że się dystansuje.

- Gdyby za bardzo się narzucał, przestań zawracać sobie nim głowę, bo to znak, że chodzi mu tylko o seks.

Annie wolałaby, żeby umilkły. Owszem, z pewnością chciały dobrze, lecz po pierwsze nie była aż tak nie-doświadczona, a po drugie za plecami dziewcząt stał jakiś sympatyczny mężczyzna w okularach i sądząc po jego zmieszanej minie, wszystko słyszał. Aż się cofnął, wpadając na marmurową kolumnę. Annie właśnie miała uśmiechnąć się do niego życzliwie, gdy nad jej głową zadźwięczał gong, obwieszczając przybycie windy.

- Pamiętasz, jak postępować, gdyby zrobiło się niebezpiecznie? - upewniła się Mel. - Komórka włączona, tylko naciśnij.

-Tak.

- To możesz iść. Wyglądasz bombowo.

- Rewelacyjnie.

- Dzięki.

- Baw się dobrze!

- Złam kark!

- Rzuć Damiena na kolana!

Weszła do windy, dziewczyny przesłały jej całusy, nacisnęła guzik z numerem dwudziestym siódmym, pomachała im, drzwi się zamknęły, winda ruszyła, a serce Annie podskoczyło.

Gorączkowo przejrzała się w dużym lustrze. Szminka? Nierozmazana. Włosy? W porządku. Staniczek nie prześwituje, pod dopasowanymi dzinsami nie widać stringów. Można się pokazać.

Gong.

Dwudzieste siódme piętro.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie i Annie ujrzała wykwintną restaurację, całą w najmodniejszym jasnym drewnie i matowej stali. Trochę inaczej wyobrażała sobie włoską restaurację. Nagle zatęskniła za sympatycznym barem w Mirrabrook, gdzie w oknach wisiały marszczone zasłonki, na każdym stoliczku leżała serweta w kratę, a na niej stały sztuczne kwiatki w żywych kolorach.

Co za nonsens! Przecież przyjechała do Brisbane również po to, by uciec od tego wszystkiego. W dodatku gdzieś tu czekał Damien. Och, żeby i ona mu się spodobała!

Nogi jej się trzęsły. Była chyba równie przejęta i zdenerwowana jak niegdyś w szkole średniej przed pierwszą randką.

Naprzeciwko windy stał bardzo wysoki brunet w ciemnym garniturze, typowy Włoch. Przypatrywał się Annie, a gdy podeszła do niego, skłonił się lekko.

- Dobry wieczór pani.

- Dobry wieczór.

- Witamy w „La Piastra”.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, lecz mężczyzna patrzył na nią z góry, jakby oczekiwał czegoś więcej. Zerknęła w głąb restauracji, szukając widoku spalonych słońcem włosów. - Jestem... jestem tu z kimś umówiona.

- Ma pani rezerwację?

-Nie.

Włoch lekko zmarszczył brwi i zmierzył ją wymownym spojrzeniem.

- To znaczy ja nie zamawiałam stolika - mówiła pośpiesznie - ale ten, z kim mam się spotkać, na pewno to zrobił. - Dopiero gdy umilkła, poczuła się jak głupia geś

z prowincji, która nie potrafi elegancko załatwić nawet tak prostej sprawy.

Obok Włocha znajdował się wysoki metalowy pulpit, na którym spoczywała gruba księga.

- Nazwisko proszę.

- Moje czy jego?

Pozwolił sobie na lekkie westchnienie, krytykując w ten sposób jej brak obycia.

- Na jakie nazwisko została dokonana rezerwacja?

- Grainger. Damien Grainger.

Zaczął sprawdzać wpisy w księdze, zaś Annie poczuła przyływ paniki. A jeśli się pomyliła? Może to nie ten dzień albo nie ta godzina? Ale to niemożliwe, przeczytała mail Damiena bodaj tysiąc razy i znała go na pamięć.

Znowu zerknęła w stronę sali restauracyjnej. Jadąc tu, wyobrażała sobie, jak Damien czeka na nią, wyglądając, czy już idzie, a gdy ją wreszcie zauważy, podrywa się i spieszy ku niej z radosnym uśmiechem. Może dostali stolik w takim miejscu, z którego nie widać wejścia?

- Jest. Stolik numer trzydzieści dwa.

No i proszę, pomyślała z satysfakcją.

- Obawiam się jednak, że pan Damien Grainger jeszcze nie przybył.

Och! Tego nie przewidziała...

Była absolutnie przekonana, że on zjawi się punktualnie lub nawet wcześniej.

- Woli pani na niego poczekać przy barze czy przy stoliku?

Spojrzała w kierunku baru. Nie, jeśli usiądzie sama na jednym z tych wysokich stołków, będzie wyglądać, jakby czekała na podryw.

- Przy stoliku.
- W takim razie proszę za mną.

Poprowadził ją do niewielkiego stolika przy oknie, nakrytego na dwie osoby. Kiedy zauważyła, że niektórzy goście jej się przyglądają, poczuła się trochę dziwnie. W Mirrabrook uśmiechaliby się do niej, wymieniali słowa powitania, zagadywali... Tu tylko patrzyli, a ona nie miała pojęcia, co sobie myślą. Czy nie pasowała do tego miejsca? Ubrała się niestosownie?

Włoch odsunął jej krzesło.

Usiadła i spojrzała na stół. Na grubym blacie z jasnego drewna leżały dwie czarne owalne podkładki pod nakrycia, na nich lśniły sztuce, a obok stały wykrochmalone białe serwetki i błyszczące kieliszki do wina. Na samym środku, na kwadratowym białym talerzyku płonęła gruba czarna świeca.

Wszystko to było bardzo miejskie, bardzo modne i bardzo minimalistyczne.

I gdyby znajdował się tu również Damien, bardzo by jej się podobało.

- Czy życzy pani sobie coś do picia?

Próbowała sobie przypomnieć nazwę modnego drinka, który poprzedniego wieczoru zamówiła dla niej Mel w koktajlbarze. To było coś z sokiem z czarnej porzeczki...

- Może chce pani przejrzeć naszą listę win? - podpowiedział Włoch.

- Nie, dziękuję. Czy... czy mogłabym poprosić o wodę?
- Oczywiście. Woli pani gazowaną czy niegazowaną?
- Poproszę niegazowaną.

Odszedł, a wtedy Annie odetchnęła, lecz jej ulga nie trwała długo. Jeden rzut oka na otoczenie uświadomił jej,

że jest jedyną osobą w całej restauracji siedzącą samotnie przy stoliku.

Wyprostuj plecy, głowa do góry. Nie można się przejmować byle drobiazgiem.

Zbliżył się do niej przystojny młody kelner, niosąc na tacy oroszoną butelkę wody mineralnej.

- Dobry wieczór pani - rzekł z ujmującym uśmiechem.

- Jestem Roberto i będę obsługiwał pani stolik.

- Dobry wieczór. - Uśmiechnęła się również, wdzięczna za tę odrobinę ciepła. - Jestem Annie, bardzo mi miło.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i nalał jej wody do szklanki.

- Czy podać pani menu?

- Nie, poczekam na... - Wskazała puste krzesło.

- Przyjaciółkę?

- N-nie... To mężczyzna.

Roberto przybrał rozczarowany wyraz twarzy i odszedł, by przyjąć zamówienie od gości przy sąsiednim stoliku.

Annie pociągnęła łyżeczkę wody i w ostatniej chwili oparła się pokusie, by przycisnąć zimną szklankę do rozpalonej twarzy. Damien na pewno utknął gdzieś w korku i przeklina teraz swojego pecha. Lada moment wpadnie na salę, zasypie ją przeprosinami...

Policzyła w myślach do stu i znowu się napiła. Policzyła do dwustu, upiła kolejny łyk. Kiedy policzyła do trzystu, para przy stoliku pod ścianą wzięła się za ręce. Zaczęli patrzeć sobie głęboko w oczy, zaś Annie mogła tylko cichutko westchnąć. Ile razy wyobrażała sobie ten wieczór! Owszem, żywiła pewne obawy. Nie spodoba mu się, powie coś głupiego albo okaże się, że Damien ukrywa przed nią jakiś paskudny nałóg. Lub okaże się żonaty. Tego ostatniego ba-

ła się najbardziej. Lecz nigdy, przenigdy nie przyszło jej do głowy, że będzie siedzieć na randce... sama.

Dziwne. W buszu na północy kontynentu, gdzie człowiek miał za towarzystwo zarośla eukaliptusów i niezamieszkałe góry, czuła się mniej samotnie niż w wielkim mieście, w otoczeniu tylu ludzi. Wyrzała przez okno, ale to nie pomogło. Wieżowce, biurowce, migotanie neonów, w dole rzeka światła, niezliczone samochody...

Gdzie jest Damien?

Szkoda, że nie podała mu numeru swojej komórki, ale wolała nie ryzykować, dopóki nie pozna go osobiście i nie przekona się, że może spokojnie to zrobić. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Mel i Victorii, by dodały jej otuchy, ale powstrzymała się.

Nie chciała patrzeć na zegarek. To nic nie da. No, może zerknie... Och! Damien spóźnił się już dwadzieścia pięć minut

Ludzie, którzy przyszli po niej, właśnie otrzymywali zamówione dania, artystycznie zaaranżowane na wielkich białych talerzach. Wrócił Roberto, zaproponował Annie jakąś przystawkę, odmówiła. Pochwyciła zaciekawione spojrzenia kilku gości, zrobiło jej się jeszcze bardziej przykro.

Och, Damien...

Postanowiła jednak zadzwonić do przyjaciółek. Sięgnęła po nowiutką torebkę, lecz ledwie otworzyła zamek, spostrzegła kątem oka, że ktoś się zbliża. Uniosła głowę.

Przy jej stoliku zatrzymał się Włoch, który pełnił dyżur przy wejściu do restauracji.

- Pani McKinnon?

- Tak - odparła pełna złych przeczuć. Skąd znał jej nazwisko?

- Właśnie odebraliśmy telefon z wiadomością od pana Graingera.

- Tak? - powtórzyła.

- Musiał odwołać dzisiejsze spotkanie.

Odwołać?

Poczuła się, jakby wyrzucono ją przez okno i właśnie spadała z dwudziestego siódmego piętra na chodnik.

Damien nie mógł przecież odwołać spotkania. Nie w taki sposób.

- Nie - powiedziała nieswoim głosem. - To niemożliwe. To jakaś pomyłka.

Włoch popatrzył na nią z dezaprobatą, Annie zrozumiała więc, że znów zachowała się nie tak, jak powinna i powiedziała coś niestosownego. Spróbowała się opanować, lecz jakim cudem miała tego dokonać?

- Czy... czy wyjaśnił, z jakiego powodu?

Musiała wyglądać na zdruzgotaną, gdyż surowe spojrzenie Włocha odrobinę złagodniało.

- Pan, który dzwonił, przekazał nam jedynie, że bardzo panią przeprasza, również za to, że powiadamia panią tak późno, ale linia była zajęta i wcześniej nie mógł się połączyć. Ten pan ma nadzieję, że pani wybaczy i zrozumie.

W takim razie się przeliczył, ponieważ nie rozumiała.

- Co mam teraz zrobić? Czy muszę zamówić kolację, skoro stolik jest zarezerwowany? Czy mam coś zapłacić?

- Nie musi pani płacić, ale może pani zostać na kolacji na koszt tego pana, który dzwonił.

Dopiero teraz dotarło do niej, jak on dziwnie to sformułował - „pan, który dzwonił”.

- Czyli Damiena Graingera, tak?

- Nie, jego wuja.

Zupełnie ją tym zaskoczył. Damien nie dość, że nie sta-
wił się na spotkanie, to nawet nie zadał sobie trudu, by ją
o tym osobiście powiadomić.

Och, był chory! Tak, musiał nagle zachorować, w dodat-
ku poważnie. Dlatego nie przyszedł i poprosił wuja, by ten
w jego zastępstwie powiadomił Annie o odwołaniu spotka-
nia. To było jedyne możliwe wytłumaczenie.

Nie. To było jedyne wytłumaczenie, w które bardzo
chciała wierzyć.

- Mam wezwać kelnera, by przyniósł pani menu?

Bez słowa potrząsnęła głową. Miała tak ściśnięte gardło,
że nie zdołałaby wykrztusić słowa. Nie w najgorszym mo-
mencie swojego życia, gdy jej marzenia, tkliwie hołubione
od tygodni, obróciły się w gruzy.

Podniosła się i ruszyła ku wyjściu. Wiedziała, że przy-
ciąga zaciekawione spojrzenia, dlatego szła prosto, z unie-
sioną głową, nie rozglądając się na boki. Dopiero gdy za-
mknęły się za nią drzwi windy, miłosiernie odgradzając ją
od obcych spojrzeń, bezsilnie oparła się o ścianę i przycis-
nęła dłoń do ust, starając się stłumić łkanie. Prawie dusiła
się od powstrzymywanych łez.

Co za rozczarowanie! Co za upokorzenie!

Wyszarpnęła z torebki komórkę.

- Och, Mel! - chlipnęła do telefonu, gdy tylko przyja-
ciółka odebrała połączenie.

- Annie, coś nie tak? Gdzie jesteś?

- W windzie. Sama.

- O Boże! Co się stało?

- Nic! Zupełnie nic, i właśnie w tym rzecz! A gdzie wy
jesteście?

- Tuż obok hotelu, w koktajlbarze „Pod Kaktusami”. Jak

wyjdiesz, skręć w lewo, to w następnym budynku po tej samej stronie ulicy.

- Tylko nigdzie nie wychodźcie, zaraz będę.

- Chyba żartujesz! Jak mogłybyśmy to zrobić? Czekamy na ciebie!

Theo Grainger czekał w foyer hotelu, obserwując wyświetlające się kolejno numery pięter, które mijała winda. Zaraz zjedzie na dół, otworzą się drzwi i wypadnie z nich Annie McKinnon, zapłakana, załamana, roztrzęsiona, boleśnie pozbawiona złudzeń. Bał się tego widoku, tym bardziej że częściowo sam zawinił, ponieważ niezbyt zręcznie załatwił sprawę.

Jego nieodpowiedzialny siostrzeniec najpierw nieźle namącił, a potem stchórzył, ale on też się nieco dołożył, chociaż nie do końca rozumiał, jak to się właściwie stało. Przyszedł do hotelu, by spotkać się z tą panną osobiście, i nim uda się do restauracji, powiadomić ją o odwołaniu spotkania. Gdy chciał, potrafił być czarujący, miał więc pewność, że załagodzi sprawę. Dziewczyna, która umówiła się z Damienem na randkę przez Internet, wróci do domu być może ze złamanym sercem, ale na pewno nie będzie czuła się oszukana ani upokorzona. Już on o to zadba. Nie pierwszy raz musiał minimalizować szkody spowodowane przez siostrzeńca.

Jednak na widok Annie McKinnon Theo stracił rezon. Nie spodziewał się, że będzie tak podekscytowana, tak uszczęśliwiona perspektywą tej randki. Oczy jej lśniły, zdawała się prawie frunąć w powietrzu. Była młoda, niewinna, pełna nadziei.

A do tego towarzyszyły jej dwie przyjaciółki.

To okazało się ponad jego siły. Jak jeden mężczyzna miał stanąć oko w oko z trzema rozemocjonowanymi kobietami i przekazać im druzgocącą wiadomość, że mogą wracać do domu, ponieważ randka jest nieaktualna?

W rezultacie Annie pojechała do restauracji, do której potem Theo desperacko próbował się dodzwonić, wściekły na siebie jak nigdy. Wreszcie mu się udało i teraz czekał na dole, by zaopiekować się roztrzęsioną dziewczyną. Śledząc wzrokiem wyświetlające się numerki, wsunął rękę do kieszeni i upewnił się, że ma czystą chusteczkę. Może się przydać. Theo uspokoił Annie, potem wyprowadził ją na ulicę i zatrzymał taksówkę, by bezpiecznie odwiozła ją do domu.

Gdy winda dotarła na parter, Theo wyprostował się dzielnie, gotów stawić czoło wyzwaniu i poradzić sobie z kobiecym płaczem.

Drzwi rozsunęły się.

Annie była nieco blada, lecz głowę miała uniesioną wysoko, niebieskie oczy zupełnie suche, wyraz twarzy spokojny i pełen godności. Gdyby Theo nie przyglądał jej się tak badawczo, pewnie umknęłoby jego uwadze drżenie jej brody i nieco sztywny chód. Poza tym nic nie zdradzało emocji.

Dzielność Annie zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Przez moment miał ochotę bić jej brawo! W następnej chwili zrozumiał, jak kiepsko wypadł w porównaniu z nią. Nie tylko jego siostrzeniec stchórzył, ale i on. Za to ona...

Minęła go niczym królowa, przeszła przez hol i znikła za wielkimi drzwiami hotelu, nim czujący się jak idiota Theo zdążył pozbierać myśli. Oprzytomniał, wybiegł na zewnątrz i rozejrzał się. Po lewej ujrzał oddalające się złościste włosy, białą bluzeczkę, różowe spodnie... Rozdzielał ich tłum ludzi.

- Annie! - krzyknął.

Nie usłyszała, za to parę osób odwróciło się i spojrzało na niego, ktoś kpiąco uniośł brwi, a Theo zrozumiał, że zachowuje się jak ostatni głupiec. Gdyby jednak usłyszała, to co by zrobił? Podszedł do niej i co dalej? Zaproponował, że ją pocieszy? Zaprosi na kawę?

Najwyraźniej tego nie potrzebowała.

- Co za drań!

- Skończony palant!

Mel i Victoria nie kryły oburzenia i nie przebierały w słowach. Nie mieściło im się w głowach, jak można było postąpić w podobny sposób. Natychmiast zamówiły dla Annie koktajl daiquiri, by miała w czym utopić swój żal.

- Pobił rekord świata, jeśli chodzi o łajdackie zachowanie!

- Zachował się jak ostatnia świnia wobec miłej, ufnej dziewczyny!

Z jednej strony solidarny gniew przyjaciółek trochę jej pomagał, z drugiej nie chciała myśleć o Damienie źle, ponieważ wciąż jeszcze czuła się zakochana i nie była gotowa wyrzec się pięknych marzeń, jakie z nim wiązała.

- Słuchajcie, on mógł się rozchorować - podsunęła z nieśmiałą nadzieją.

Victoria prychnęła.

- A może wpadł pod autobus? - rzuciła ironicznie.

- Albo musiał nagle wyjechać z kraju - dodała Mel, przewracając oczami. - Przestań się łudzić, Annie! Gdyby miał choć trochę przyzwoitości i naprawdę poważny powód do odwołania randki, stanąłby na głowie, żeby ci wszystko wytłumaczyć. A on co? Zachował się jak śmierdzący tchórz! Moim zdaniem podszył się pod kogoś innego.

- Co masz na myśli?

- Założę się, że nie ma żadnego wujka - oznajmiła Mel. Annie poczuła się jeszcze gorzej. Jeśli to Damien dzwonił do restauracji, podając się za kogoś innego...

Victoria pocieszająco poklepała ją po ramieniu.

- Zapomnij o nim. W ogóle zapomnij o randkach w ciemno. Proponuję, żebyś dziś podniosła statystykę spożycia alkoholu w Brisbane.

Myśl wydawała się nawet dobra, ale zagłuszanie smutków alkoholem nie było w stylu Annie. Owszem, na jeden wieczór trochę się znieczuli, ale co potem? Co zrobi następnego dnia? I przez całą resztę pobytu?

Miała przed sobą jeszcze cały tydzień w Brisbane. Bez Damiena.

- Wolałabym raczej wrócić do domu. Gdybym mogła usiąść do twojego komputera, Mel, wysłałabym temu draniowi maila, który długo popamięta!

- Świetny pomysł. Nie ma co się upijać, bo Victoria i ja rano idziemy do pracy. Napiszmy mu, co o nim myślimy. Niech do niego dotrze, że jest ostatnią świnią!

- Pewnie spłynie to po nim jak woda po kaczmie - mruknęła ponuro Victoria.

- Wszystko jedno - zawyrokowała Mel. - Za to Annie poczuje się lepiej, kiedy mu wygarnie całą prawdę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Annie spędziła najgorszą noc w swoim życiu. Przewracała się z boku na bok na koszmarnej niewygodnej kozetce, jedynym dodatkowym miejscu do spania w małym mieszkanku wynajmowanym przez Mel i Victorię.

Dziewczęta pomogły jej napisać maila do Damiena, nie zostawiając na nim suchej nitki. Wysłanie listu sprawiło Annie pewną satysfakcję, lecz to uczucie szybko minęło. Mel i Victoria spały już smacznie w swoich sypialniach, podczas gdy ona leżała bezsennie, wpatrując się w ciemność. Samotność jednak miała jedną dobrą stronę - nie trzeba było niczego udawać. Skoro nikt na nią nie patrzył, nie musiała być dzielna, mogła wreszcie się rozkleić.

Nie pojmowała, jak to się stało, że Damien tak postąpił. Przecież przez kilka tygodni był nią wyraźnie zainteresowany, regularnie pisali do siebie listy i rozmawiali na czacie, coraz lepiej się poznając, coraz lepiej się dogadując. Co się więc stało? A jeśli sama była sobie winna? Przecież to ona zaproponowała, by spotkali się poza Internetem. Może powinna była poczekać na jego inicjatywę? Może go spłoszyła? Ale nic na to nie wskazywało, bo Damien ochoczo przystał na jej pomysł.

Jego nieobecność była tak nieoczekiwana, tak zagadkowa, że Annie wciąż nie potrafiła do końca wyzbyć się na-

dziei. Naprawdę mogło wydarzyć się coś zupełnie nieprzewidzianego.

W takim jednak wypadku wysłanie mu tego ostatniego listu, przy pisaniu którego obficie czerpała z wyrażen podsuwanych przez Mel i Victorię, okaże się straszliwą pomyłką. ..

Z rozpaczą zaczęła walić głową w poduszkę, a potem - wyczerpana, lecz wciąż zbyt zdenerwowana, by zasnąć - przewróciła się na plecy i leżała tak bez ruchu. Mijały godziny, zbliżał się świt. Z przebiegającej nieopodal autostrady dobiegał szum pojazdów, Annie nie była przyzwyczajona do podobnych odgłosów. Nagle zatęskniła za domem. Spod zaciśniętych powiek popłynęły łzy.

Jej starsi bracia, bliźniacy Reid i Kane, niedługo wstaną, bo na farmie dzień pracy zaczynał się wraz ze wschodem słońca. Jej ukochana collie, Lavender, pewnie przybiegnie do jej pokoju, by ją obudzić, ale pani znajdowała się daleko, daleko, sama i smutna. Och, ile by dała za to, by usłyszeć znajome walenie ogonem o podłogę! I szczebiot kukabur, i skrzeczenie srok, i porykiwanie bydła.

Wstałaby, poszła do kuchni, zrobiła braciom śniadanie. .. Poczowała wyrzuty sumienia. Obawiając się, że mieliby coś przeciw jej eskapadzie do Brisbane, nie uprzedziła ich o swoim wyjeździe, tylko zostawiła krótki list. Oni więc ciężko pracowali, a ona zrobiła sobie wakacje. W dodatku nic nikomu nie powiedziała, jedynie zasięgnęła porady redakcji „Mirrabrook Star”. Może jednak powinna była wspomnieć braciom o tym, że poznała kogoś przez Internet i pragnie go spotkać naprawdę? Och, ale oni zawsze tak się nad nią trzęśli, tak byli opiekuńczy, że mogliby jej nie puścić na tę wymarzoną randkę.

Gdyby mama nie znajdowała się tak daleko, aż w Szkocji, to wszystko pewnie wyglądałoby inaczej.

- Przyszła odpowiedź na twojego maila - oznajmiła Mel, wchodząc rano do kuchni. - Wydrukowałam ci ją.

Annie zrobiło się gorąco. Pozna wreszcie całą prawdę, dowie się, czemu Damien się z nią nie spotkał. Gorączkowo wyrwała przyjaciółce kartkę z ręki.

- To od jego wujka - zdradziła Mel.

- Co? - Annie poczuła bezbrzeżne rozczarowanie. - To nie Damien mi odpisał?

- Nie.

- Czyli jednak ów wujek istnieje - mruknęła Victoria

- Na to wygląda - stwierdziła Mel.

Annie jęknęła, gdyż nagle do niej dotarło, co to znaczy.

- I to on przeczytał nasz list? Ale przecież... Och, tam były straszne rzeczy!

- Przede wszystkim prawdziwe - stwierdziła spokojnie Victoria. - Miałaś przecież prawo powiedzieć Damienowi, co o nim sądzisz.

- Tak, ale jak pomyśle, że przeczytał to jakiś starszy pan... Musiał się zgorszyć moim językiem! - stwierdziła ze zgrozą i pełna obaw przeczytała wreszcie otrzymaną odpowiedź:

Od: T.G. Grainger

Do: anniem@mymail.com

Data: poniedziałek 14 listopada 6.05

Temat: Re: Masz jakieś wytłumaczenie, draniu???

Droga Annie!

Mam nadzieję, że nie będzie Ci przeszkadzać, jeśli to ja odpowiem na Twój list. Mój siostrzeniec aktualnie przebywa poza miastem, prosił mnie jednak, bym w jego imieniu

odpowiadał na ważne listy, a Twój z całą pewnością do takich należy. Trochę mi niezręcznie wkraczać w tak prywatne sprawy, lecz uznałem, że grzeczność nakazuje, byś niezwłocznie otrzymała odpowiedź.

Zechciej przyjąć moje gorące przeprosiny za karygodne postępowanie mojego lekkomyślnego, by nie rzec: bezmyślnego siostrzeńca, które ostatniego wieczoru naraziło Cię na ogromne nieprzyjemności.

Damien musiał pilnie wyjechać, to ja dzwoniłem w jego imieniu do restauracji „La Plastra”. W pełni rozumiem Twoje zdenerwowanie i podzielam Twoją opinię o jego zachowaniu, które również mnie ogromnie rozczarowało. Zgadzam się, że zasługujesz na wyjaśnienia z jego strony i obiecuję dopilnować, by skontaktował się z Tobą od razu po powrocie.

Mam nadzieję, że reszta Twojego pobytu w Brisbane przebiegnie znacznie milej i że wyjedziesz stąd z przyjemnymi wspomnieniami.

*Szczerze oddany,
dr Theo Grainger*

- Czyli jednak! - zakrzyknęła Annie. - Damien musiał pilnie wyjechać.

- Jasne - prychnęła Mel. - A my jesteśmy z Marsa.

- Nie wierzysz mu?

Odpowiedziało jej wymowne milczenie, a gdy przyjaciółki wymieniły równie wymowne spojrzenia, w Annie zgasł ostatni płomyk nadziei.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Victoria sięgnęła po list i przeczytała go.

- Umie pisać ten wujaszek - pochwalila.

Annie smutno pokiwała głową.

- Tak, „karygodne postępowanie mojego lekkomyślnego, by nie rzec: bezmyślnego siostrzeńca" to znacznie bardziej elegancki sposób stwierdzenia, że Damien jest łobuzem.

- Ja tam wolałam naszą wersję - stwierdziła z przekonaniem Mel.

- Też uważam, że najlepiej strzelać prosto między oczy - zgodziła się Victoria, co wywołało blady uśmiech na twarzy Annie. - Ale wujcio jest doktorem, więc wypowiada się uczenie. Dobrze, że nie wtrącił jakichś łacińskich nazw...

- Jest doktorem, ale nie medycyny.

Annie i Victoria spojrzały na Mel ze zdumieniem.

- Skąd wiesz? - spytały unisono.

- Na pierwszym roku studiów miałam zajęcia z filozofii, prowadził je niejaki doktor Theo Grainger. To nie jest zbyt popularne nazwisko, więc dam głowę, że chodzi o naszego wujaszka. Świetny wykładowca, swoją drogą. Tłumy do niego waliły.

Victoria spojrzała na zegarek.

- Hej, zobaczcie, która jest godzina! Mel, musimy się pośpieszyć, inaczej spóźnimy się do pracy.

- Zostawcie wszystko, ja posprzątam - obiecała Annie, ale nawet jej nie słuchały, tylko pobiegły do swoich pokojów.

Pomyślała, że jeśli pomieszka u nich dłużej, zaczną ją traktować jak jej bracia. Kane i Reid wykonywali poważne, odpowiedzialne prace, zajmując się hodowlą bydła, a jej pozostawiali płacenie rachunków, sprzątanie, pranie i gotowanie, przez co czuła się jak Kopciuszek. Również dlatego wyrwała się na tydzień do miasta, by trochę odpocząć od wiecznego usługiwania. Niestety zapowiadało się,

że najbliższe dni spędzi, sprząając i gotując u Mel i Victo-
rii. Wcale jej się to nie uśmiechało.

Ale co innego miała do roboty?

Właściwie mogłaby odpisać doktorowi Graingerowi, przyciskając go nieco, by dowiedzieć się, kiedy Damien wróci do Brisbane. Jednak straciła zaufanie do internetowych kontaktów. Druga strona mogła z łatwością nałgać, w cztery oczy byłoby już trudniej.

Zatrzymała się w połowie sprząwania ze stołu. W cztery oczy? Czemu by nie spróbować? Wujek Damiena był filozofem, a filozofowie uchodzili przecież za niezmiernie mądrych ludzi. Okazał jej dużo zrozumienia, nie zgorszył się nieparlamentarnym językiem ani nie uznał jej za głupią gąskę, która rzuciła wszystko i przyleciała na spotkanie, zadurzona w kimś, kogo znała jedynie wirtualnie. Mógłby jej pomóc to wszystko rozwikłać, mówiąc więcej o Damieniu. Wtedy by wreszcie wiedziała, czemu sprawy przybrały zły obrót.

Tak, najlepiej chwycić byka za rogi. Jej bracia zawsze tak mówili. Porozmawia więc z wujkiem Theem, chociaż jest zwyczajną dziewczyną z buszu i zupełnie nie zna się na takich mądrych rzeczach jak filozofia. Nie boi się McKinnowie to ludzie czynu.

Pospieszyła do łazienki, gdzie Mel staranie tuszowała rzęsy.

- Gdzie wyklada doktor Grainger?

Przyjaciółka podejrzliwie zmarszczyła brwi.

- Na uniwersytecie w Saint Lucia. Czemu pytasz?

- Wiesz, zawsze ciekawiła mnie filozofia, więc pomyślałam sobie, że skoro już tu jestem i nie mam nic szczególnego do roboty, to mogłabym zajrzeć na jakiś wykład... O ile jest to dozwolone, oczywiście.

- Tak, w odróżnieniu od ćwiczeń wykłady są otwarte i każdy może ich słuchać. - Mel ostatni raz pociągnęła rzesy tuszem i obróciła się ku Annie. - Słuchaj, a nie lepiej dać już sobie spokój z tym nieszczęsnym Damienem? Przecież nie on jeden na świecie. U mnie w pracy jest kilku porządnym facetów, więc...

- Nie chodzi o niego, tylko o mnie. Po prostu muszę wiedzieć, co się tak naprawdę wydarzyło. Inaczej będę czekała, aż on raczy wrócić i łaskawie się ze mną skontaktować. Będę zależna od tego, co Damien robi, a to mi się nie podoba. Wolę dowiedzieć się wszystkiego i mieć to z głowy.

Mel wzruszyła ramionami.

- Rób, jak uważasz, ale nie obiecuj sobie za wiele. Zajęcia i wykłady już się skończyły, zaraz zacznie się sesja, a na dyżurze nikt cię nie przyjmie, ponieważ nie jesteś studentką.

Tego Annie nie przewidziała.

- Idziesz? - rozległ się głos Victorii.

- Tak, już lecę! - Mel wyszła z łazienki, rzucając przez ramię: - Na twoim miejscu poszłabym na zakupy.

- Mam inne plany - odrzekła spokojnie Annie.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Theo Grainger ślezczał nad kolokwiami, więc nie unosząc głowy, rzucił:

- Proszę! - Był pewien, że Lillian, wydziałowa sekretarka, przyniosła codzienną pocztę.

- Doktor Grainger? - rozległ się nieznajomy damski głos. Ach, jakaś studentka... A on miał tyle roboty!

- Byliśmy umówieni? - burknął znad papierów.

-Nie.

Westchnął z irytacją.

- Przecież musi pani wiedzieć, jak to się załatwia. Proszę

iść do tablicy informacyjnej, sprawdzić, kiedy mam pierwszy wolny termin i wpisać przy nim swoje nazwisko.

- Dobrze.

Nie poświęcając jej więcej uwagi, skupił się z powrotem na ocenianej właśnie pracy, której autor miał niestety miżerne pojęcie o dopiero co przerobionym utylitaryzmie.

- Tylko najpierw proszę mi powiedzieć, gdzie jest tablica informacyjna.

Theo Grainger gwałtownie uniósł głowę.

- Ile już lat pani tu studiuje? - spytał ostro.

- W ogóle tu nie studiuje. - Z przepaszającym uśmiechem założyła za ucho pasmo jasnych włosów.

Annie McKinnon!

Niewiele brakowało, by powiedział to na głos, a przecież wtedy zdradziłby się, że obserwował ją poprzedniego wieczoru, kiedy szła na randkę z jego siostrzeńcem. Lepiej, by nie miała o tym pojęcia.

Podniósł się zza biurka.

- Przepraszam, nie dosłyszałem pani nazwiska.

- Ponieważ jeszcze się nie przedstawiłam. Proszę wybaczyć, to ze zdenerwowania. Właściwie wstyd się przyznać... Jestem Annie McKinnon. Dostałam pańską odpowiedź na list, który wysłałam do Damiena.

- Ach, tak... Mam więc przyjemność poznać spontaniczną i prawdomówną pannę McKinnon.

- Tak mi przykro, doktorze Grainger! Pisząc ten list, ja i moje przyjaciółki nie przypuszczałyśmy, że ktoś z rodziny Damiena go przeczyta. W przeciwnym razie nigdy byśmy sobie nie pozwoliły na podobną... bezpośredniość.

- Nie wątpię w to. - Uśmiechnął się z pewną rezerwą.

- Czemu pani do mnie przyszła?

Uśmiechnęła się tak samo ostrożnie jak on.

- Jestem panu winna przeprosiny.

- Nie wydaje mi się. To nie pani powinna przeproszać.

- Chciałam też poznać prawdę.

- Jaką prawdę?

- O Damienie. - Spojrzała mu prosto w oczy i przestała się uśmiechać. - Muszę wiedzieć, czy on naprawdę wyjechał z jakiegoś ważnego powodu, czy po prostu wolał uniknąć spotkania ze mną.

Po tym, jak ujrzał ją wychodzącą dumnie z windy poprzedniego wieczoru, powinien był się domyślić, że ta dziewczyna nie schowa się w mysią dziurę, upokorzona i nieszczęśliwa. Popatrzył w jej oczy, czyste i jasne jak letnie niebo, chrząkając z zakłopotaniem.

- To nie jest właściwe miejsce na takie rozmowy. - Zerknął na zegarek, uznał, że może na trochę wyjść. Wolał zabrać ją z dala od ciekawskich oczu... i uszu. - Czy pozwoli się pani zaprosić na kawę?

- Będzie mi bardzo miło - odparła z autentyczną wdzięcznością.

Jej twarz się rozjaśniła, a Theo Grainger zaczął mieć wątpliwości, czy z tą kawą to rzeczywiście dobry pomysł. Radosna młoda blondynka u jego boku... Hm... Sięgnął po zawieszoną na oparciu krzesła marynarkę z emblematem uczelni. Było co prawda ciepło, ale wolał oficjalnym strojem podkreślić dzielący ich dystans. Tak będzie bezpieczniej.

Musieli przejść przez sekretariat, gdzie za biurkiem siedziała Lillian. Annie uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

- Znalazłam go! - zawołała wesoło.

Lillian odpowiedziała uśmiechem i skinieniem głowy, po czym spojrzała na doktora Graingera i uniosła jedną

brew, wyraźnie zaintrygowana. Nie zwracał na nią uwagi, pragnąc jak najszybciej zabrać z wydziału niedoszlą dziewczynę swojego siostrzeńca.

O rety!

Annie była pod wrażeniem. Doktor Grainger prowadził ją przez wielki dziedziniec, otoczony pięknymi, wielkimi budynkami z piaskowca. Dziedziniec był naprawdę ogromny. Jego środek zajmował nienagannie utrzymany trawnik, po którym leniwie przechadzali się studenci, po bokach zaś biegly krużganki wsparte na smukłych kolumnach. Annie prawie czuła, jak w powietrzu unosi się wiedza, niesamowite ilości wiedzy. W takim otoczeniu chyba nie można było nie zmądrzeć choć trochę.

- Czy oni zdają sobie sprawę, jakie mają szczęście, że mogą się tutaj uczyć? - spytała, przyglądając się z zazdrością rozgadanyim studentom.

- Obawiam się, że tylko nieliczni - odparł z uśmiechem.

- Pani nie miała szansy studiować, jak rozumiem?

- Chciałam zdawać na uniwersytet od razu po szkole, ale zmarł mój tata i sprawy rodzinne trochę się skomplikowały. Mama wyjechała, a ja uznałam, że przez rok zostanę w domu, by pomóc braciom. Hodują bydło, mamy farmę na północy Queenslandu. Po dwóch latach zrozumiałam, że utknęłam na dobre.

- Ale miała pani inne plany.

- Tak. Na początku nie przeszkadzało mi to aż tak bardzo, ale ostatnio coraz bardziej żałuję, że wszystko tak się ułożyło.

- Nigdy nie jest za późno na studia.

- Też tak myślę. W końcu dwadzieścia cztery lata to

nie jest znowu tak dużo, prawda? Jestem jeszcze całkiem młoda.

- Bardzo młoda - odparł takim tonem, jakby mu to przeszkadzało, zaś Annie nie zdołała odgadnąć, czemu.

Doszli do kawiarenki usytuowanej w niewielkim ogródku. Doktor Grainger kupił dwie kawy i zaniósł filiżanki do stolika najbardziej oddalonego od tych, które okupowali studenci.

Usiedli, sięgnęli po torebki z cukrem, rozdarli je i wsyпали do kawy po połowie, a resztę odłożyli. Annie zaśmiała się, gdy to spostrzegła.

- Mogliśmy użyć jednego opakowania na spółkę, skoro słodzimy po połowie.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, co myśleć o Annie.

Cóż, ona miała podobny problem. Również nie wiedziała, co myśleć o wujku Damiena. Wyobrażała sobie, że zobaczy roztargnionego profesora po pięćdziesiątce, być może brodatego, niedbale ubranego i łypiącego znad okularów. Owszem, doktor Theo Grainger łypnął na nią, i to faktycznie znad okularów, gdy nie wiedziała, gdzie znaleźć tablicę informacyjną, ale nic poza tym się nie zgadzało.

Ubierał się bez zarzutu. Jego niebieska koszula i beżowe spodnie były świeżutkie i nienagannie uprasowane. Żadnej brody, żadnego siana na głowie, porządnie ostrzyżone ciemne włosy. Szczupła, wysportowana sylwetka. Do tego nie mógł być starszy od jej braci, którzy w tym roku obchodzili trzydzieste piąte urodziny.

Nie pojmowała, jak ktoś zajmujący się filozofią może wyglądać tak elegancko i tak... atrakcyjnie. Na szczęście był atrakcyjny w zupełnie inny sposób niż mężczyźni z jej

stron. Nawet okulary niczego mu nie ujmowały, przeciwnie, dodawały tylko klasy.

Właściwie czemu tak się dziwiła? W końcu miała do czynienia z wujkiem takiego przystojniaka jak Damien. Widać uroda była u nich cechą rodzinną.

Właśnie, miała go wypytać o jego siostrzeńca. Tylko jak to najlepiej zrobić?

- To miło z pańskiej strony, że zechciał mi pan poświęcić swój czas, chociaż pewnie nie ma pan o mnie najlepszego zdania - zaczęła. - Musi pan uważać mnie za mało rozsądną osobę, skoro używam Internetu do nawiązywania osobistych kontaktów z obcymi ludźmi.

- W takim razie trzeba by uznać za nierozsądnych tysiące innych ludzi - odparł spokojnie. - Umawianie się na randki przez Internet staje się coraz bardziej popularne.

- Dziękuję, to mnie trochę pocieszyło.

- Przykro mi tylko, że poczuła się pani tak bardzo zawiedziona z powodu tego, co się stało.

- Chyba mam prawo, nie sądzi pan?

- Każdy ma prawo do swoich odczuć, to fundamentalna zasada ludzkiej wolności.

Tym razem to Annie łypnęła na niego.

- To zabrzmiało cokolwiek filozoficznie... Obawiam się, że zaraz zacznie pan mówić bardzo mądrze i nic nie zrozumie. Lepiej niech mi pan powie jasno, czy Damien mnie unika.

Westchnął i odwrócił wzrok.

- Trudno rzec.

- Ale zapewne ma pan jakieś zdanie na ten temat?

Uśmiechnął się leciutko i zerknął na nią z rozbawieniem.

- Czy nigdy pani nie myślała, by zostać prokuratorem?

Ma pani talent do przypierania człowieka do muru. Trudno panią okłamać, panno McKinnon.

- To dobrze. - Spojrzała prosto w jego orzechowe oczy i na moment straciła wątek. Otrząsnęła się i zebrała myśli.
- Proszę mi mówić po imieniu. I powiedzcie jasno, czy Damien jest draniem?

- Pewnie masz na ten temat ustaloną opinię, więc nie muszę odpowiadać na to pytanie... - Na moment zawiesił głos, po czym dodał cicho: - Annie.

Gdy usłyszała swoje imię wypowiedziane przyjemnym niskim głosem, przebiegł ją dziwny dreszcz. Bezwiednie zamknęła oczy, a gdy je znowu otworzyła, spostrzegła, że doktor Theo Grainger przygląda jej się z pewnym napięciem. Nie wiedziała, czemu to przypisać.

- Przepraszam, ale nie mam ochoty rozwiązywać zagadek. Niech mi pan zdradzi, co myśli i co wie, żebym zrozumiała, na czym stoję.

Westchnął, oparł dłonie na stole i splótł palce.

- Dobrze. Otóż prawdziwa przyczyna wyjazdu Damiena nie jest mi znana, nie poinformował mnie o niczym. Obawiam się jednak, że wolał uniknąć spotkania z tobą. Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu. Niestety, Damien nie należy do ludzi odpowiedzialnych i swoim zachowaniem zdołał dotknąć już niejedną osobę. Mówiąc wprost, wciąż jeszcze nie wyrósł ze szczeniackich żartów.

- Rozumiem...

- Mam nadzieję, że nie zламаło ci to serca?

Dziwne, lecz rozczarowanie Annie okazało się znacznie mniejsze, niż mogłaby się tego spodziewać. Nie zaskoczyła jej informacja, że padła ofiarą żartu. Podejrzewała to, a teraz jedynie uzyskała potwierdzenie.

- Nie tak łatwo złamać mi serce, doktorze Grainger.
Przez chwilę wyraźnie nie wiedział, jak zareagować.

- Miło mi to słyszeć - rzekł wreszcie, po czym zapatrzył się gdzieś w dal.

Annie w zamyśleniu dopiła kawę.

- Ale jednej rzeczy mi żal, i to ogromnie - mruknęła.

- Mianowicie?

- Nie poznam Basila.

- Basila?

- Dalmatyńczyka Damiena.

- Napisał, że ma psa? Dalmatyńczyka imieniem Basil?

- Tak. - Oczy jej się zaiskrzyły, twarz ożywiła. - To zresztą jeden z powodów, dla których Damien tak mi się spodobał, bo ja jestem straszna psiara. Żartowaliśmy sobie z Damienem, jak to moja collie Lavender zakocha się w jego Basilu i w rezultacie będziemy mieli całą masę fantastycznych szczeniaków. Nie potrafiliśmy tylko odgadnąć, jak będą wyglądać.

Theo uśmiechnął się dziwnie, a potem zmarszczył brwi, jakby niezadowolony ze swoich myśli.

Annie poczuła się jak balonik, z którego wypuszczono powietrze.

- Chyba mi pan nie powie, że Basila też zmyślił! Wie pan, gdyby Basil nie istniał... byłoby mi to trudniej znieść niż cokolwiek innego.

- Och, bez obawy, Basil z całą pewnością istnieje. Ale to mój pies.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Ile czasu idzie się stąd na most Goodwill? - spytała Annie Melisę, która właśnie myła zęby przed pójściem spać.

- Jakieś pół godziny. A co?

- Chcę wiedzieć, na którą nastawić budzik.

Przyjaciółka szybko wypłukała usta i spojrzała ze zdumieniem na Annie.

- Wybierasz się tam jutro o świcie?

-Tak.

- Ale po co?

- Żeby się trochę przejść i przewietrzyć z samego rana, kiedy powietrze jest bardziej czyste.

- Ale to kawał drogi! Przecież przyjechałaś do Brisbane odpocząć, a nie się zamęczyć.

- Odrobina ruchu mi nie zaszkodzi. - Annie odwróciła się, by wyjść z łazienki. - Dobranoc.

- Hola, hola! - zawołała za nią Mel. - Nie wywiniesz się tak łatwo. Akurat uwierzę w poranne spacerki w celu wdychania świeżego powietrza w mieście. Z kim masz się spotkać?

Annie westchnęła.

- Z Basilem. To pies. A konkretnie dalmatyńczyk.

Mel przewróciła oczami.

- Randka z psem? A czy ten dalmatyńczyk nie przypro-

wadzi na smyczy jakiegoś przystojniaka, którego dziś poznałaś?

- Faktycznie, Theo też tam będzie - przyznała z ociąganiem Annie.

- Theo? - Głos Mel podskoczył o całą oktawę. - Czyżby doktor Theo Grainger?

- Owszem. Rozmawialiśmy dzisiaj i obiecał mi pokazać swojego psa.

Mel zaniemówiła, a potem dostała tak histerycznego ataku śmiechu, że aż musiała oprzeć się o ścianę.

- Nie rozumiem, co w tym śmiesznego - stwierdziła z godnością Annie. - Przecież wiesz, jak ja kocham psy.

- Wiem też, ile dziewczyn kocha się w atrakcyjnym doktorze filozofii! Połowa studentek robi do niego słodkie oczy, bez skutku zresztą, bo nigdy się z żadną nie umówił. Chyba ma taką zasadę.

-1 słusznie.

- Czy teraz rozumiesz, czemu mnie tak zatkało? Ledwie się tam zjawiłaś, a już zaproponował ci randkę. Jakim cudem tego dopięłaś?

- Daj spokój, Mel, poranny spacer z psem to nie randka. Przyjaciółka milczała wymownie, zaś Annie z ledwością wytrzymała jej spojrzenie, aż z zakłopotaniem wbiła wzrok w podłogę.

Mel powiedziała znacznie łagodniejszym i spokojniejszym tonem:

- Będę trzymała kciuki za to, żeby nie okazał się podobny do swojego siostrzeńca.

Impulsywne decyzje miewają często oplakane skutki, powtarzał sobie poniewczasie Theo, czekając u północnego

krańca mostu i obserwując biało-niebieskie promy, przewożące ludzi przez rzekę Brisbane. Spontanicznie zaprosił Annie, by towarzyszyła mu podczas porannego spaceru z Basilem, lecz nie było to zbyt mądre posunięcie. Tłumaczył sobie jednak, że musi dać Annie jakieś zadośćuczynienie za to, jak potraktował ją jego siostrzeniec. W pewnym sensie miał wobec niej moralne zobowiązania.

Oczywiście jako wykładowca uniwersytecki doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznie jest proponować cokolwiek atrakcyjnej młodej kobiecie, która może wyciągnąć zbyt daleko idące wnioski. Starając się temu zapobiec, sformułował zaproszenie niezbyt zachęcająco. W swym braku uprzejmości posunął się aż do tego, że powiedział Annie, w którym miejscu może na nią zaczekać i nawet nie wyjaśnił, jak miała tam trafić. Teraz tego żałował. A jeśli się zgubiła?

Odwrócił się plecami do rzeki i zaczął się przyglądać spieszącym do pracy ludziom, szukając znajomej twarzy. I nagle ją spostrzegł.

Annie stała przy przejściu dla pieszych. Miała czerwone światło i czekała. Wreszcie światła się zmieniły.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam? - spytała, podchodząc do niego szybkim krokiem.

Miała lekko zdyszany głos, jakby biegła.

- Nie, skądże.

Przeniosła spojrzenie na psa, padła przed nim na kolana.

- Och, Basil, jesteś przecudny! Widziałam twoje piękne kropki już z daleka.

Drapała dalmatyńczyka za uszami, głaskała, klepała, gadała do niego, a Theo starał się nie przyglądać za bardzo, jak jej jasne włosy połyskują w słońcu i jak zgrabnie

Annie wygląda w czarnych szortach i błękitnym topie bez rękawów. Odwrócił się czym prędzej i zaczął z zainteresowaniem studiować stojące nad rzeką bloki, choć nie było w nich nic szczególnego.

- Gdzie idziemy? - spytała Annie, podnosząc się.

- Na drugi brzeg.

Most Goodwill był przeznaczony wyłącznie dla pieszych i rowerzystów, więc szło się nim bardzo przyjemnie. Powietrze było czyste, rzeka migotała, parki po drugiej stronie kusiły zielenią.

- Theo, czy ten napis na twojej koszulce nie jest przypadkiem po włosku?

Drgnął lekko. Annie miała talent do zadawania najbardziej nieoczekiwanych pytań.

- Owszem. To reklama kawy.

- Znasz włoski? Wiesz, co to znaczy?

- Tak To znaczy „Stworzona dla ludzi, którzy kochają kawę”.

Była pod wrażeniem.

- A znasz Włochy?

- Jeździłem tam wiele razy.

- O rety! Dużo bym dała, żeby zobaczyć Rzym albo Wenecję. Albo Florencję. Na temat Włoch czytam wszystko, co tylko wpadnie mi w ręce. A na widok zdjęć cieknie mi ślinka!

- Nie dziwię się, to przepiękny kraj. Uwielbiam go.

- Naprawdę?

Powiedziała to tak dziwnym głosem, że spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Coś nie tak?

- Nie, tylko... To jest też ulubiony kraj Damiena.

- Pierwsze słyszę. Nigdy tam nie był i nigdy nie wyrażał takiej ochoty.

Annie zatrzymała się gwałtownie.

- Basil, do nogi - zakomenderował Theo i lekko pociągnął za smycz.

- Czy nie odnosisz wrażenia, że Damien próbował udawać kogoś podobnego do ciebie? - spytała Annie.

- Nie. Czemu miałby to robić? I skąd taka myśl? Dlatego, że wspomniał o psie i Włoszech?

- Nie tylko. Pisał mi też o filozofii.

Theo nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Przecież on nie ma o niej bladego pojęcia.

- Pisał tak mądrze, jakby się znał. - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Przynajmniej tak mi się wydawało, bo sama nic o niej nie wiem. Mogłabym uznać, że zdanie „Jutro też jest dzień” ma w sobie filozoficzną głębię.

- I wcale byś się tak bardzo nie pomyliła.

Przez chwilę stali w milczeniu, wreszcie Annie bezradnie potrząsnęła głową.

- To jest takie... Wiesz, nie mogę uwierzyć, że wszystkie rzeczy, za które kocha... lubiłam Damiena, zostały zmyślane.

Nie zostały zmyślane, pomyślał Theo. To byłem ja. To jestem ja.

Ich spojrzenia zetknęły się, a wtedy Annie zagryzła dolną wargę i jej policzki zaróżowiły się nieco, jakby też to zrozumiała.

Westchnęła.

- Nie mówmy już więcej o Damieniu. I chodźmy, nie chciałam przerywać spaceru.

Poszli więc dalej/Annie rozglądała się roziskrzonym

spojrzeniem, chłonąc nowe widoki. Była tak samo pod-
ekscytowana jak poprzedniego dnia na kampusie, co nagle
uświadomiło Theowi pewną rzecz: kobiety, z którymi się
dotychczas umawiał, były znudzone i cyniczne. Nie pamię-
tał, by któraś z nich potrafiła bezinteresownie i spontanicz-
nie czymkolwiek się zachwycić. Brakowało im entuzjazmu
i orzeźwiającej świeżości Annie.

- Och, popatrz na to! - Wskazała na rozciągający się
w oddali nowoczesny kompleks budynków, otoczony pięknym
parkiem.

- Co ci się tak spodobało?

- Ta ceglana wieżyczka z zegarem, która wystaje nad
drzewami. Jest urocza!

- Tak, też ją lubię. To wieża starego ratusza z epoki wik-
toriańskiej.

- Kompletnie nie pasuje do otoczenia i jest strasznie sta-
roświecka, ale wydaje mi się znacznie ładniejsza od tych
współczesnych budynków ze szkła i aluminium. Jestem
pewna, że ma o nich jak najgorsze zdanie.

- Tak samo, jak miałyby królowa Wiktorii.

Annie roześmiała się.

- No właśnie! - Wyrzuciła ramiona w górę i wykonała
pełen gracji piruet. - O rety, kocham to miasto!

W tym momencie Theo zapomniał, jak niebezpiecznie
jest proponować cokolwiek atrakcyjnej młodej kobiecie,
która może wyciągnąć zbyt daleko idące wnioski.

- A może poszlibyśmy razem na śniadanie? Co ty na to?

Razem? Na śniadanie? Annie z trudem stłumiła okrzyk
zdzumienia. Sądząc po dziwnej minie Thea, jego też ta pro-
pozycja zaskoczyła. Chyba zdał sobie sprawę z tego, że do-

danie wspólnego śniadania do porannego spaceru z psem zaczyna niebezpiecznie przypominać randkę. A jeśli załował swojej propozycji?

Czy nie powinna odmówić? Nie chciała jednak odmawiać, ponieważ kiedy była z nim... Nie wiedziała, jak to nazwać, lecz coś się wtedy z nią działo. Coś, co miało pewien związek z faktem, że Theo wyglądał świetnie w koszulce i szortach.

- Nie wiem, czy jesteśmy odpowiednio ubrani, żeby gdzieś wejść...

- Nie przejmuj się, tutaj wiele osób wpada na śniadanie do okolicznych kafejek bezpośrednio po joggingu. Nikomu to nie przeszkadza.

- A co z Basilem? Jego nikt nie wpuści do lokalu.

- Mój znajomy ma sympatyczną restauracyjkę nad samą rzeką i pozwala mi przychodzić z Basilem, którego uwiązuje w dyskretnym miejscu z dala od kuchni i gości. Oczywiście staram się nie nadużywać jego uprzejmości, to musi być specjalna okazja.

- Czy poranny spacer z psem to specjalna okazja?

Theo uśmiechnął się w szczególny sposób, a jej zrobiło się gorąco.

- Na pewno nie każdy...

Pochyliła się pod pretekstem podrapania Basila za uchem, a w rzeczywistości chciała ukryć wyraz twarzy.

- Nie będzie ci przykro, jeśli zostawimy cię na jakiś czas uwiązanego?

Basil zamachał ogonem, a Theo wyjaśnił:

- Giovanni go tak rozpieszcza, że Basil na pewno nie poczuje się pokrzywdzony.

- W takim razie chodźmy.

Skrećili z mostu w nadrzeczny bulwar wysadzany kwitnącymi bugenwillami. Annie czuła, jak serce zaczyna bić jej szybciej, a u ramion rosną skrzydła. Próbowwała się opanować. To nie jest randka, powtarzała sobie.

Wzdłuż rzeki ciągnęły się bary, kawiarenki, restauracje. W jednej z nich krągły, łysiejący Włoch właśnie rozpinął nad stolikami parasole w białe i czerwone pasy. Na widok zbliżającej się pary uśmiechnął się szeroko.

- *Ciao, Theo!* - zawołał radośnie głębokim basem.

- *Ciao, Giovanni* - odparł Theo z równą serdecznością, choć nieco ciszej.

Pokleпали się życzliwie po plecach, wymienili parę zdań po włosku. Annie słuchała tego z zachwytem.

Giovanni uklonił jej się.

- *Buon giorno, signorina.*

Annie była w siódmym niebie. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał jej signorina!

—*Buon giorno, Giovanni* - odparła z może nie najlepszym akcentem, lecz i tak sprawiła restauratorowi wyraźną przyjemność.

Theo miał taką minę, jakby był z niej dumny.

Giovanni wziął smycz Basila i zaprowadził psa na tyły restauracji, cały czas mówiąc coś do niego z sympatią po włosku.

- Usiądźmy. - Theo zaprowadził ją do stolika z widokiem na rzekę i strzeliste budynki na przeciwległym brzegu.

Annie z trudem ukrywała podekscytowanie. Śniadanie w takim miejscu! Coś nadzwyczajnego! Od razu poczuła się jak ktoś z miasta, a nie zwykła dziewczyna z buszu.

- Co zamawiasz? - zagadnęła, gdy przeglądali karty.

- Na pewno coś lekkiego. Może rogaliki i kawę.

Annie pomyślała, co by powiedzieli jej bracia o mężczyźnie, który je rogaliki na śniadanie. Dla nich śniadanie oznaczało jajka na bekonie i pajdy chleba grubo smarowanego masłem. No tak, ale oni mieli przed sobą cały dzień ciężkiej pracy fizycznej, podczas gdy Theo pewnie większość czasu spędzał za biurkiem.

- Chyba zdecyduję się na tosty z owocami.
- Dobry wybór, zwłaszcza jeśli lubisz suszone figi.
- Bardzo.
- Co do tego? Kawę?
- Tak.

W domu zawsze piła herbatę, ale tu wszystko było bardziej wyrafinowane.

Kiedy kelner przyjął zamówienia, Theo oparł się wygodnie i zapatrzył w niebo. Sprawiał wrażenie, jakby był w dobrym nastroju. Annie postanowiła to wykorzystać.

- Nie chcę być wścibska, ale czy mogę cię o coś zapytać? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie masz ochoty.

- Pytaj.
- Widzisz, jestem zupełną ignorantką w tych sprawach...

Co właściwie robi taki filozof?

- Tego się obawiałem...

Annie speszyła się trochę.

- Dużo osób zadaje ci to pytanie?

- Właściwie każdy.

- Aj! - Skrzywiła się. - Przykro mi, że jestem kolejną, która cię tym katuje, lecz chcę zrozumieć, czym się zajmujesz. Przecież nie siedzisz cały dzień i nie myślisz o różnych mądrych rzeczach, musisz też... - Urwała nagle.

- Muszę też robić coś użytecznego?
- Nie chciałam powiedzieć nic, co mogłoby cię urazić

- zapewniła szybko. - Ja tylko... Po prostu twoje życie jest tak różne od mojego. Tam, gdzie mieszkam, ludzie są praktyczni aż do bólu. Nie mają wyboru, bo inaczej nie przetrwają. Nie mogą siedzieć i myśleć, bo wiecznie jest coś do roboty. W buszu jesteśmy zdani sami na siebie.

- W odróżnieniu od filozofów, którzy siedzą i nic nie robią... - mruknął.

- Tego nie wiem. Właśnie dlatego pytam, co robisz.

Theo skrzyżował ramiona, co zaniepokoiło Annie, ponieważ przyjaciółki ostrzegały ją, że to oznacza dystansowanie się od rozmówcy.

- Cóż, filozofowie z całą pewnością nie pieką rogalików, nie hodują bydła i nie budują domów.

W tym momencie ku wielkiej uldze Annie ponownie zjawił się kelner. Dobrze, że przerwał tę rozmowę, gdyż Theo chyba poczuł się urażony. Może nie lubił podobnych pytań?

Sięgnął po torebkę z cukrem, uniósł ją z uśmiechem, na widok którego Annie ogarnęło przyjemne ciepło.

- Podzielimy się? - spytał.

- Pewnie - odparła, uśmiechając się również, zadowolona, że zmienili temat.

Mylła się.

- A jednak filozofowie coś budują - oznajmił, smarując rogalik masłem. - Wznoszą konstrukcje myślowe. Nie dla zabawy ani czystej gimnastyki umysłowej, lecz po to, by naświetlić dane zagadnienie lub problem z wielu stron. To nie są tylko rozważania teoretyczne, filozofia ma ogromny związek z życiem. Kiedy człowiek ma problemy, czasem dawka Platona lub Arystotelesa może okazać się równie pomocna jak inne terapie. A czasami nawet bardziej.

- To ciekawe. Chyba i mnie dawka filozofii dobrze by zrobiła. Zawsze słyszę, że jestem zanadto impulsywna i że powinnam najpierw pomyśleć, a potem robić, nie na odwrót. - Przesunęła palcem wzdłuż brzegu filiżanki. - Tylu rzeczy jeszcze nie wiem...

- Tak samo jak wszyscy. Zresztą wiedza przychodzi z czasem.

- Pewnie masz rację, ale... - Podniosła wzrok i spojrzała w orzechowe oczy Thea. - Wolałabym jednak być mądrzejsza i mieć jakieś pojęcie przynajmniej o tych rzeczach, które są naprawdę istotne.

Nie odpowiedział od razu. Bez pośpiechu sięgnął po drugi rogalik, przekroił go i posmarował masłem.

- Jesteś mądrzejsza, niż ci się wydaje, Annie. Słynne stwierdzenie Sokratesa brzmi: „Wiem, że nic nie wiem”. Prawdziwa mądrość zaczyna się od uświadomienia sobie swojej niewiedzy.

Zerwał się wiatr, zwał Annie włosy na twarz. Kiedy je odgarnęła, spostrzegła, że Theo z pełnym troski niepokojem przygląda się jej ręce. Zaintrygowana, sama też na nią zerknęła. Na łokciu i przedramieniu widniały sińce.

- To przez kozetkę, na której śpię u przyjaciółek - wyjaśniła. - Jest nie tylko niewygodna, ale i wąska. Wystarczy, że przez sen przekręcę się na drugi bok i już spadam. Obok jest stolik do kawy i parę razy uderzyłam się o kant. Do końca tygodnia moja kolekcja siniaków na pewno się powiększy. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, przywiozłabym sobie karimatę i śpiwór i spałabym na podłodze.

- Niedobrze... - mruknął, po czym popadł w głębokie zamyślenie.

Wreszcie Annie zerknęła na zegarek. Zaniepokoiła się.

- Możemy tak siedzieć? Nie musisz już iść do pracy?
- Wykłady i zajęcia już się skończyły, więc mogę nieco swobodniej dysponować czasem. - Dopił kawę i odstawił filiżankę. - Ale faktycznie lepiej będzie, jeśli wrócę do domu. Skinął na kelnera, zapłacił rachunek a, potem pożegnali się z Giovannim, zabrali Basila i ruszyli w drogę powrotną.
- Jakie masz plany na resztę pobytu w Brisbane?

- Że co?! - Mel upuściła nóż, którym kroića grzyby, i wzięła się pod boki, mierząc Annie niedowierzającym spojrzeniem.

Równie zaszokowana Victoria zamarła w trakcie obie-rania marchewki.

- Nie myślcie, proszę, że nie doceniam waszej gościnności - pospieszyła z wyjaśnieniem Annie. - Jestem ogromnie wdzięczna za zaofiarowanie mi noclegu, zabranie mnie na zakupy i pomoc w sprawie z Damienem.

- Ja nie mówię o braku wdzięczności - sprostowała Mel.
- Ja nie rozumiem, jak możesz przeprowadzić się do doktora Graingera.

- Czemu miałybyś mieszkać u jakiegoś starego nudziarza, który w dodatku jest krewnym tego drania? - zdumiała się Victoria.

- Właśnie z racji pokrewieństwa Theo oddał do mojej dyspozycji pokój swojego siostrzeńca. Chyba czuje, że ma wobec mnie pewien dług. Tak się domyślam.

Mel prychnęła szyderczo.

- A ja się domyślam, że on czuje coś zupełnie innego I ma wobec ciebie nie dług, tylko pewne zamiary.

- Powinnaś być bardziej ostrożna - dodała Victoria.
Annie jęknęła. Jak miała im wyjaśnić, skąd się wzięła

propozycja Thea, nie zdradzając im jednocześnie, że poskarżyła się, jak bardzo jest jej u nich niewygodnie?

- Uwierzcie mi, to jest zupełnie platoniczne...

- Słyszysz? - Mel mrugnęła do Victorii. - Zjadła śniadanie z filozofem i już używa takich słów jak „platoniczny”.

- W takim razie na pewno nie możemy jej do niego puścić. Za tydzień nie da się z nią rozmawiać.

- Zejdźcie ze mnie, dobra?

Annie powiedziała to nieco ostrzej, niż zamierzała, ale przynajmniej miało to ten dobry skutek, że dziewczyny przestały stroić sobie żarty i zamilkły.

- Zgodziłam się, ponieważ ten pomysł wydał mi się całkiem dobry, i to z kilku powodów. Po pierwsze będzie wam wygodniej we dwie, to w końcu nie jest aż takie duże mieszkanie. Po drugie faktycznie mam prawo skorzystać z wygodnego pokoju Damiena, bo coś mi się należy za to, co mi zrobił. Po trzecie Theo mieszka w znakomitym miejscu, bo niedaleko jest i biblioteka, i galerie sztuki, i teatry, i rzeka, a za nią piękne parki. Codziennie będę miała co robić i gdzie pójść.

- A w nocy? - spytała Victoria.

Annie poruszyła się nerwowo.

- Theo nie wykorzysta okazji i nie rzuci się na mnie, jeśli o to ci chodzi.

- Masz rację - wtrąciła Mel. - Ale widzę inne niebezpieczeństwo. On jest naprawdę atrakcyjny, nie możesz temu zaprzeczyć. A co, jeśli się w nim zadurzysz i znowu zostaniesz zraniona? Już miałaś doświadczenia z jednym mężczyzną z tej rodziny, jeszcze ci mało?

- Jaki siostrzeniec, taki wuj - oznajmiła sentencjonalnie Victoria.

Annie unikała ich wzroku. Zagrożenie, o którym mówiła Mel, było całkiem realne. Przecież tak naprawdę w ciągu tych kilku minionych tygodni ożywionej korespondencji Annie pokochała bardziej Thea niż Damiena. Nie miała pojęcia, czemu siostrzeniec przywłaszczył sobie osobowość wujka, nie miała też pojęcia, co dzieje się między nią a Theem, gdy są razem, ale coś na pewno się działo. I na pewno nie zamierzała się tego wyrzec, dlatego natychmiast przyjęła jego propozycję.

- Jestem gotowa zaryzykować - powiedziała wreszcie.

Mel popatrzyła na nią ze zgrozą.

- O nie! Ty już się w nim zabujałaś!

- No coś ty! Przecież dopiero co go poznałam.

- Chwileczkę - przerwała im stanowczo Victoria. - Nic z tego nie rozumiem. Jakim cudem on może być tak atrakcyjny, że Annie miałyby się w nim zakochać? To przecież chyba jakiś staruszek, nie?

- Skąd! - Mel potrząsnęła głową. - Ma trzydzieści parę lat.

Victoria otworzyła usta ze zdumienia. Wpatrywała się w Annie przez kilka chwil, po czym na jej twarzy pojawił się pełen zrozumienia uśmiech.

- Przenoś się do niego - rzekła z przekonaniem.

- Dwa do jednego, zostałam przegłosowana. - Mel westchnęła dramatycznie. - Trudno. Tylko niech nikt potem nie mówi, że nie ostrzegałam. Ale przynajmniej skontaktuj się z braćmi i poinformuj ich o zmianie planów. Dzwonił Reid i nagrał się na sekretarkę. Sądząc po głosie, niepokoi się o ciebie.

- Dobrze, zaraz się tym zajmę.

- Dziwne, że nie złapał cię przez komórkę - dodała Mel.

Annie znowu odwróciła wzrok.

- Pewnie próbował, ale przypadkiem ją wyłączyłam.

Przyjaciółka uniosła brwi.

- Hm... Jakiego uczucia oznaką jest roztargnienie?

Annie nie odpowiedziała. Tak naprawdę specjalnie wyłączyła komórkę, ponieważ nie czuła się na siłach, by rozmawiać z którymś z braci. Musieli być źli, że bez ostrzeżenia zostawiła im dom na głowie.

- Dobrze, idź się pakować, po obiedzie odwieziemy cię do doktora Graingera - zdecydowała Mel.

Annie uściskała ją serdecznie.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez takich przyjaciół jak ty i Victoria. Ale nie musicie mnie odwozić. Wezmę taksówkę.

- Daj spokój, odwieziemy cię - przekonywała Victoria. - Zobaczymy, gdzie mieszka ten tajemniczy wujek. Ba, może nawet go spotkamy. Nie obawiaj się, nie narobimy ci wstydu - dodała na widok spłoszonej twarzy Annie.

Nie pozostawało więc nic innego, jak się spakować, a przedtem zadzwonić do domu. Nie wiedząc, z jaką reakcją braci się spotka, Annie wybrała numer komórki Reida.

- Annie, dzięki Bogu! - wykrzyknął z ulgą. - Odkąd wyjechałaś, nie dajesz znaku życia. Bałem się, że coś się stało.

Zrobiło jej się strasznie głupio.

- Przepraszam, naprawdę zamierzałam zadzwonić wcześniej, tylko nie wyszło...

- Musisz się więc nieźle bawić.

- Owszem, ale mam wyrzuty sumienia wobec was. Wyjechałam tak zniecka...

- Może i nie ma tego złego - pocieszył ją. - Dotarło do nas, że traktowaliśmy cię trochę jak służącą. Należał ci się wyjazd i odpoczynek. Naprawdę na to zasłużyłaś.

Kochany Reid! W głębi duszy czuła, że ją zrozumie.

- Annie, jak długo zamierzasz zostać u Melissy?

Nie przewidziała tego pytania, zaczęła więc gorączkowo zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Niedługo - odparła ostrożnie. - Ona... ona zaraz mnie odwiezie do innego z przyjaciół, bo tam jest więcej miejsca i będzie bliżej do teatrów i galerii sztuki, więc sam rozumiesz. Oczywiście w każdej chwili można mnie złapać przez komórkę. - Na wszelki wypadek zmieniła temat:
- Powiedz, co w domu.

- Lavender strasznie za tobą tęskni. Jest osowiała, snuje się z kąta w kąt, a najczęściej leży na werandzie i nawet łba nie podniesie, kiedy przechodzimy.

- Ojej, biedactwo... Pogłaszcz ją ode mnie.

- Nic z tego. Jestem w Lacey Downs, chwilowo zastępuję Rogersa, bo Mary urodziła przed czasem.

- Jak ona się czuje? Wszystko w porządku?

- Tak. Mają córeczkę.

- To świetnie! Bardzo tego chciała,

- Szaleją ze szczęścia - przytaknął Reid. - Spędzę tu pewnie tydzień czy dwa.

Annie skrzywiła się.

- W takim razie wybrałam zły moment na ten wyjazd.

Kane został zupełnie sam, może powinnam wrócić? - spytała bez przekonania, po cichu mając nadzieję, że Reid zaprzeczy.

- Nie ma potrzeby, Kane znalazł taką jedną Angielkę do pomocy.

- To dobrze się złożyło - rzekła Annie, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała zbyt duża ulga.

Reid milczał przez chwilę.

- Mam tylko nadzieję, że Kane wie, co robi - mruknął wreszcie sceptycznym tonem.

Trochę ją to zaniepokoiło, lecz na wszelki wypadek nie drażyła tematu.

- Muszę już kończyć. Zadzwoń za kilka dni i powiem ci, kiedy wracam.

- W porządku, będę czekał. Baw się dobrze, siostrzyczko.

- Dzięki, braciszku. Ściskam cię mocno.

- Ja ciebie też.

Kiedy się rozłączyła, pożałowała, że jednak nie spytała o Kane'a i tę Angielkę. Reid nie miał zwyczaju martwić się na zapas, więc jeśli coś obudziło jego niepokój, musiała to być poważna sprawa. Zapomniała jednak o tym, gdy do pokoju wpadła podekscytowana Victoria.

- On tu jest - wyszeptała. - Właśnie przyszedł.

- Kto? - spytała Annie, chociaż znała odpowiedź.

- Wujek Theo! O rety, ale przystojniak! Nie miałam pojęcia, że facet w okularach może być taki seksowny! I do tego przyjechał takim fajnym srebrnym kabrioletem. A na tylnym siedzeniu siedzi dalmatyńczyk! - relacjonowała z błyskiem w oku.

- Och! - jęknęła Annie. - Przecież mówiłam, żeby po mnie nie przyjeżdżał.

- Pewnie nie chciałaś, żebyśmy były zazdrosne, jak go zobaczymy? - Victoria pokiwała głową. - Wcale ci się nie dziwię, kochana.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Theo wiózł Annie do siebie, przez całą drogę powtarzając sobie, że będzie ją traktował jak najżyczliwiej, ale z dystansem, tak trochę po ojcowsku. Zważywszy różnicę wieku i wykształcenia, powinno mu to przyjść z łatwością. Nie ulegnie jej zaraźliwej spontaniczności i entuzjazmowi. W ogóle nie ulegnie niczemu.

Musiał tylko pamiętać o tej osobliwej właściwości Annie, która powodowała, że przy niej dziwnie się zapominał. .. To niedopuszczalne.

Kiedy przyjechali do jego domu, Theo zaniósł bagaż Annie na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie. Postawił go w korytarzu przed pokojem Damiena, otworzył drzwi i nie przekraczając progu, zaprosił ją gestem do środka. Weszła i rozejrzała się.

Zobaczyła proste łóżko przykryte granatowym kocem, obok niego stolik ze szklanym blatem i stojącą na nim nocną lampką. W rogu znajdowało się biurko z komputerem, monitor starannie zasłonięto pokrowcem.

- Damien jest bardzo porządny - stwierdziła z lekkim zaskoczeniem.

- Nie do końca... Poprosiłem panią Feather, która przychodzi do nas sprzątać, żeby schowała jego osobiste rzeczy.

Pani Feather bardzo się postarała, ponieważ nic nie zo-

stało na widoku z wyjątkiem budzika w kształcie małego telewizorka. Może nawet postarała się za bardzo, gdyż pokój sprawiał wrażenie nienaturalnie pustego, zwłaszcza że ściany były zupełnie gołe.

W odróżnieniu od Annie Theo dostrzegał dyskretne ślady po zdjętych plakatach.

- Tam jest łazienka, tylko do twojego użytku. - Wskazał drzwi w głębi sypialni. - Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie.

- Na pewno. Dziękuję.

Uniosła ręce, by odgarnąć z twarzy potargane podczas jazdy kabrioletem włosy, a wtedy krótka bluzeczka podjechała do góry i Theo zobaczył ładnych parę centymetrów nagiej gładkiej skóry.

- Rozgość się, ja pójdę do kuchni. Lubisz małże?

- Nie wiem, nigdy nie jadłam, ale zawsze chętnie próbuję czegoś nowego.

- A w ogóle lubisz owoce morza?

- Bardzo!

- Powinny ci więc smakować.

Annie nagle ściągnęła brwi.

- Mówisz tak, jakbyś zamierzał je sam przyrządzić.

- Bo zamierzam. Nie ufasz mi? - zażartował.

- Ale to ja powinnam gotować. Przynajmniej tak mogłabym ci się odwdzińczyć za gościnę. Uprzedzam jednak, że moja specjalność to potężne befsztyki.

Uśmiechnął się.

- Może innym razem. Dzisiaj ja gotuję.

Kiedy Annie została sama, wyjęła z torby podróżnej kosmetyczkę i poszła do łazienki, by obmyć twarz i rozcze-

sać splecione włosy. Przez moment wahała się, czy nie pociągnąć warg szminką. Nie, lepiej nie. Theo mógłby uznać, że za bardzo stara się zrobić na nim wrażenie.

Postanowiła rozpakować się później, gdyż chciała wyjść z tego dziwnie ascetycznego pokoju. Była ciekawa reszty domu.

Idąc korytarzem ku schodom, minęła uchylone drzwi sypialni pana domu i oczywiście zerknęła do środka. Ostatnie promienie zachodzącego słońca wślizgiwały się przez drewniane żaluzje, padając prosto na podwójne łóżko, przykryte elegancką kremową narzutą, na której leżały w artystycznym nieładzie czarne i kremowe poduszki. Na jednym z dwu nocnych stolików piętrzyły się książki.

Wieczorem, gdy paliły się lampki o czarnych abażurach, musiało to wyglądać jeszcze piękniej. Annie wyobraziła sobie, jak Theo leży w tym wielkim łóżku... a obok niego ujrzała siebie.

Odwróciła się i czym prędzej zbiegła na dół.

W drodze do kuchni musiała przejść przez duży pokój dzienny. Tu również królowały kolory kremowy i czarny, doszedł też wyrafinowany ciemnoszary, a wszystko to współgrało ze szlachetnym miodowym odcieniem parkietu oraz wysokich regałów na książki, które zajmowały całe dwie ściany. W trzeciej znajdowało się ogromne okno, a na czwartej, pomalowanej na bordowo, wisiały abstrakcyjne obrazy utrzymane w odcieniach bieli i czerni.

Z głębi domu dobiegały dźwięki tęsknej ballady. Annie ze zdumieniem rozpoznała jednego ze swoich ulubionych wykonawców muzyki etnicznej. Również i to Damien „pożyczył” sobie od wujka. Razem z muzyką snuła się po całym parterze smakowita woń. Annie starała się odgadnąć,

co to za zapach. Wyczuła cytryny, czosnek i jakieś świeże zioła podgrzewane na oliwie.

Weszła do kuchni i ujrzała niecodzienny widok - niecodzienny dla niej. Pan domu stał przy kuchence i mieszał coś w emaliowanym rondlu. Mężczyzna przy kuchni? U McKinnonów coś podobnego nie zdarzało się nigdy, i to od najstarszych pokoleń! Tymczasem w mieście doktor filozofii pichcił sobie w najlepsze, przy czym mieszanie w garnku i przewieszona przez ramię pasista ściereczka do naczyń ani trochę nie ujmowały mu męskości.

Zauroczona muzyką i zapachem Annie rozejrzała się dookoła. Kuchnię urządzono na biało, jedynie blaty szafek oraz barku wyłożono czarnym granitem. Czarne były również artystycznie wykonane stołki z kutego żelaza. Przesuwane szklane drzwi prowadziły na niewielkie, pełne zieleni patio, gdzie czekał stolik nakryty na dwie osoby.

- Kolacja prawie gotowa - odezwał się Theo. - Masz ochotę na białe wino?

Odwrócił się i obdarzył Annie uśmiechem, na widok którego ogarnęła ją niewytłumaczalna słabość.

Małże smakowały równie wyśmienicie, jak pachniały. Theo podał je z linguini, które polał sosem z pomidorów i świeżej bazylii. Ta prosta kompozycja smaków ogromnie przypadła Annie do gustu.

- Czy to danie ma jakąś nazwę?

- Spaghetti delia Paulo. Czyli spaghetti przyrządzone tak, jak robi je Paulo, restaurator, którego poznałem w Rzymie podczas jednego z moich wyjazdów do Włoch.

- Wyśmienite! Ty nie musisz chodzić do „La Piastra”.

- Nie wiem, czy nie muszę, ale chodzę, bo to moja ulubiona restauracja.

Powinna była się tego domyślić. Nawet to Damien ściągnął od wujka. Ale czemu podszywał się pod niego? Czy nie miał własnych upodobań? Uznał, że dla kobiety okażą się nieinteresujące?

Nie, lepiej nie myśleć o tym, jak ogromnie była zauroczona charakterem osoby, z którą korespondowała przez Internet. Przecież należał do kogoś innego. I z tym kimś właśnie jadła kolację w jego domu...

- Opowiedz mi o waszej farmie, o tym, jak wygląda życie w buszu - poprosił Theo - Niewiele wiem na ten temat.

Wzruszyła ramionami.

- To zależy od pory roku. Nasze farmy są ogromne, więc gdy kończy się wypas i trzeba zagnać stada z powrotem, przez parę tygodni w ogóle nie wraca się do domu i nocuje pod gołym niebem. To akurat lubię najbardziej. Jednak większość czasu schodzi nam na codziennych obowiązkach. Trzeba naprawiać ciągnące się kilometrami ogrodzenia, dbać o dostęp bydła do wody, sprawdzać stan zdrowia zwierząt...

Te informacje mu nie wystarczyły, zaczął więc drażnić temat. Nie sprawiał przy tym wrażenia kogoś, kto pyta z czystej grzeczności, lecz wydawał się autentycznie zaciekawiony. Wreszcie umilkł i popadł w zamyślenie.

- Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz spędziłem noc pod gwiazdami - mruknął. - To było całe wieki temu...

- W takim razie koniecznie musisz wyjechać za miasto i to zrobić. Najlepiej wybierz otwartą przestrzeń, żebyś mógł zobaczyć tyle gwiazd, ile dusza zapagnie.

- Świetny pomysł. - Dolał Annie i sobie wina. - W jakimś stopniu właśnie wpatrywanie się w rozgwieżdżone niebo usposobiło mnie do filozoficznych dociekań.

- Naprawdę?

- Tak. Pamiętam, jak tuż po szkole średniej pojechałem z kumplami na wakacje. Rozbiliśmy biwak na plaży w Zatoce Byrona. Wtedy po raz pierwszy w życiu tak naprawdę patrzyłem na gwiazdy. Rozumiesz, po raz pierwszy wpatrywałem się w ogrom kosmosu, w jego... otchłań.

- Ten widok budzi grozę, prawda?

- Owszem. Leżałem więc na piasku i zastanawiałem się, czym jesteśmy wobec takiego ogromu.

- Czy filozofia daje odpowiedź na takie pytania?

- Nie daje jednej niepodważalnej odpowiedzi, tylko oferuje różne idee, możliwości, podejścia. Zapoznajesz się z tym, co myśleli inni i za pomocą narzędzi, jakie oferuje ci filozofia, wypracowujesz własną odpowiedź.

- Ty już masz swoją?

Uśmiechnął się ciepło.

- Zbliżam się do niej.

Annie westchnęła. Miała ogromną ochotę zapytać go o tyle rzeczy - o istnienie Boga, sens życia, rolę przypadku - ale nie wiedziała, od czego zacząć i jak. Ostatecznie spytała o coś znacznie prostszego:

- Rozumiem, że po szkole średniej poszedłeś na studia filozoficzne?

- Nie od razu. Ojciec chciał, żebym zajmował się czymś bardziej praktycznym, więc wylądowałem na studiach ekonomicznych. Na filozofię trafiłem później właściwie przez przypadek.

-Jak to?

Na jego twarzy odbiło się zakłopotanie, spuścił wzrok.

- Nie wiem, co o tym pomyślisz... Na pewno nic dobrego.

- Zobaczymy. Powiedz.

Odchylił się na oparcie krzesła.

- Nie zapominaj, że mówimy o zamierzchłej przeszłości, gdy miałem osiemnaście lat i myślałem tylko o tym, jak skutecznie podrywać dziewczyny. Sęk w tym, że bardzo mnie onieśmialały.

Jego onieśmialały dziewczyny? Annie nie bardzo potrafiła w to uwierzyć, ale powstrzymała się od komentarza.

- Ciekawe, jesteś pierwszą osobą, której to zdradzam - zauważył, sam lekko zaskoczony. - Otóż dowiedziałem się od mojej starszej siostry, że dziewczynom imponują naprawdę inteligentni faceci, wpadłem więc na pomysł, by z szalenię mądrą miną przesiadywać po kawiarniach z opasłą książką i z fajką w dłoni.

- Z fajką? - powtórzyła ze zdumieniem.

- Nigdy jej nie zapalałem. Nosilem ją, bo wielu największych myślicieli dwudziestego wieku paliło fajkę.

- I co? Któraś złapała się na to?

- Żeby jedna!

Annie poczuła nieoczekiwany przypływ zazdrości o te wszystkie dziewczyny, z którymi kiedykolwiek umówił się na randkę.

- Nie do końca jednak rozumiem związek między podrywaniem dziewczyn a filozofią, chyba że mam całkowicie błędne pojęcie na temat filozofii...

Theo roześmiał się.

- Pewnego razu zabrałem z sobą tom pism Seneki, myśliciela, który żył w czasach rzymskich. Ani się obejrzałem,

jak mnie to wciągnęło. Siedziałem przy stoliku tak zaczytany, że zapomniałem, w jakim celu naprawdę przyszedłem. Parę dziewczyn nawet próbowało zwrócić na siebie moją uwagę, ale z Seneką nie miały szans. Tamten wieczór przesądził o wyborze mojej drogi życiowej. Zakochałem się w filozofii.

- I przestałeś interesować się dziewczynami? - rzuciła z niewinną miną

- Tego bym nie powiedział - odparł, patrząc jej prosto w oczy, a w jego wzroku coś błysnęło.

Annie rozpoznała ten błysk i przebiegł ją dreszcz.

- Co właściwie napisał ów Seneka, że zrobił na tobie takie wrażenie?

- Trudno to streścić w dwóch zdaniach. - Zastanawiał się przez moment. - Podejrzewam, że tobie też by się spodobał, ponieważ mieszkasz daleko od cywilizacji. W buszu jesteście zdani na własną zaradność, musicie cały czas mierzyć się z wyzwaniem, jakie stawia natura, a Seneka wyznawał pogląd, że należy podporządkować się prawom natury, godzić się z ich wymogami.

Zachichotała.

- Z tym godzeniem się bywa różnie... Jak myślisz, czemu wyrwałam się do miasta i nie mogę się nacieszyć, że tu jestem? Bo u nas najmniejszy drobiazg urasta do rangi problemu i trochę mi to dojadło. Co robisz, gdy chcesz przeczytać książkę? Proste, idziesz do księgarni lub biblioteki i już. A skąd ja mam wziąć lekturę na naszym odludziu? Niby też proste. Zamówić przez Internet. Ale nic z tego, bo nie mam normalnego adresu! „Farma Southern Cross, poczta Mirrabrook” to za mało. Każdy żąda numeru domu i nazwy miejscowości, w której mieszkam.

- Rozumiem... Skoro tak banalna rzecz stwarza tyle trudności, to co dopiero mówić o problemach z suszą, pożarami lasu lub, dla odmiany, z powodzią?

- Właśnie.

Znowu popadł w zamyślenie, jego twarz stała się poważna, może nawet trochę ponura. Annie obawiała się, czy nie zepsuła nastroju, mówiąc o Internecie i przypominając Theowi o tym, jak zadurzyła się w Damienie.

- Miło się rozmawia, ale mam jeszcze trochę pracy, wybacz - odezwał się, podnosząc się od stołu.

Annie zerwała się z krzesła.

- Ja posprzątam, skoro ty gotowałeś. Pokaż mi tylko, gdzie co schować.

Kiedy sprzątała ze stołu, opłukiwała naczynia i wkładała je do zmywarki, Theo zrobił kawę.

- Pozwolisz, że pójde z swoją do gabinetu? Dobranoc, Annie.

- Dobranoc, Theo.

Odprowadziła go wzrokiem. Wypiła kawę, przeglądając leżącą na barku gazetę, potem wyjęła naczynia ze zmywarki, schowała je do szafek i wróciła na górę do sypialni Damiena. Rozpakowała torbę podróżną i otworzyła szafę w nadziei, że pani Feather zrobiła trochę miejsca na jej rzeczy.

Szafa była zupełnie pusta.

Dziwne. Wszystkie ubrania Damiena zostały zabrane, podobnie jak usunięto jego osobiste rzeczy.

Annie poczuła się nieswojo. Czemu to zrobiono? Przecież nie było takiej konieczności. Nagle aż usiadła na brzegu łóżka, porażona straszliwą myślą. Damien w ogóle nie istniał!

W takim razie Theo nie mógł być jego wujkiem...

A jeśli to on udawał w Internecie Damiana, czarującego chłopaka o spalonych słońcem włosach?

Boże wielki! Wprowadziła się do domu mężczyzny, którego zupełnie nie знаła, a który mógł prowadzić podwójne życie.

W tej sytuacji tylko jedno było pewne - czekała ją kolejna bezsenna noc.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wczesnym popołudniem zadzwoniła Mel.

- Chciałam spytać, jak się sprawy mają.

- Dobrze. Właśnie robię risotto z wędzonym łososiem i szparagami.

- Podobno planowałaś odwiedzać galerie sztuki?

- I już dzisiaj w jednej byłam, ale chciałam też...

- Zrobić na kimś wrażenie swoim talentem kulinarnym?

Ciekawe...

Tak. Chciała. Nie mogła olśnić Thea intelektem, więc musiała szukać innych dróg.

Ze zdenerwowania faktycznie nie spała prawie przez całą noc, zasnęła dopiero bladym świtem i nawet nie słyszała, jak Theo wychodził na długi poranny spacer z Basilem. Kiedy wreszcie zeszła na dół, pan domu już jadł śniadanie, trzymając nos w gazecie i nie zwracając na Annie większej uwagi. Dopiero wybierając się do pracy, rzucił jakby mimochodem, że ma na wieczór bilety do teatru i może Annie chciałaby z nim pójść.

- Z tym imponowaniem będzie raczej trudno, bo Theo wspaniale gotuje. Ale przecież nie mogę mu zaserwować parówek z ziemniakami, prawda?

- Zaraz, zaraz. Przyjechałaś do miasta również po to, by odpocząć od gotowania i zajmowania się domem - przy-

pomniła jej Mel. - A może dasz się gdzieś wyciągnąć dziś wieczorem?

- Dzięki, ale Theo wspomniiał coś o teatrze, a ja nie widziałam żadnego przedstawienia od czasów szkolnych. Pamiętasz, jak poszliśmy całą klasą na „Sen nocy letniej”?

- Tak. Słuchaj, to może zjadłybyśmy razem lunch jutro albo pojutrze?

- Bardzo chętnie. Odezwę się.

- Koniecznie bądź w kontakcie - zakomenderowała Mel.

- Wciąż nie jestem pewna, czy dobrze robisz.

- Ale ja jestem - skłamała.

Kiedy zapaliły się światła, Theo odkrył, że Annie osusza twarz chusteczką.

- Co za okropny koniec - poskarżyła się. - Zupełnie się tego nie spodziewałam.

- Lubisz tylko szczęśliwe zakończenia?

- Nie, ale kiedy coś zaczyna się jak komedia romantyczna, to powinno skończyć się równie pogodnie. Wszystko wskazywało na to, że Erica i James będą z sobą, a tu w ciągu ostatnich pięciu minut wszystko się rozpadło. Nie zgadzam się!

Sprawiała wrażenie tak głęboko rozczarowanej, że Theo miał ochotę otoczyć ją ramieniem, by dodać jej otuchy, powstrzymał się jednak. To nie byłoby najmądrzejsze posunięcie. Annie miała na sobie prostą ciemnoczerwoną sukienkę bez rękawów i wyglądała niezwykle kobieco, kwitnąco i kusząco. Theo aż wbił ręce w kieszenie spodni, by nie ulec pokusie i nie dotknąć jej, kiedy wracali piechotą do domu.

Był cudownie ciepły listopadowy wieczór, pełnia lata. Właśnie przekwitwały jacarandy, szli więc po opadłych

kwiatach jak po miękkim dywanie, w powietrzu unosiła się słodka woń plumerii, a na niebie lśnił księżyc. Aż się prosiło o romantyczny spacer, trzymanie się za ręce, pocałunki w cieniu drzew... Nie, nic z tego. W ogóle nie powinien o tym myśleć.

Tylko jak?

W obecności tej fascynującej, pełnej życia kobiety, która nieustannie zaskakiwała go nietuzinkowymi pytaniami, coraz trudniej było mu zachować dystans. Ukradkiem obserwował, jak Annie się porusza, jak w świetle mijanych latarni jej jasne włosy połyskują złociście. Pragnął ich dotknąć, dotykać jej nagich ramion, smukłej talii, ach, więcej jeszcze... W taką noc i przy takiej kobiecie zapominał o wszystkim, myśląc tylko o jej nogach, o ciele ukrytym pod czerwoną sukienką.

Musiał jednak wziąć się w garść, ponieważ zawarcie bliższej - a nawet bardzo bliskiej - znajomości z Annie z wielu powodów nie wchodziło w rachubę. W dodatku nie przyjechała do Brisbane dla niego, nie powinien o tym zapominać. Ta dziewczyna była promienna i pełna życia, na co jej nudny wykładowca uniwersytecki?

Annie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w drodze powrotnej do domu między nią i Theem narasta erotyczne napięcie.

A może to tylko jej wyobraźnia? Jednak z każdą mijającą chwilą była pod coraz większym urokiem Thea. Mówiąc szczerze, zadurzyła się w nim po same uszy.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, odwrócił się do niej.

- Masz może ochotę na kawę albo brandy? Albo jedno i drugie?

- Wolałabym brandy, po kawie trudno mi zasnąć.
Zaprosił gestem, by usiadła w fotelu, a sam podszedł do barku i napełnił dwa kieliszki. Jeden przyniósł Annie, drugim zaś wzniosł toast, gdy zajął miejsce na sofie naprzeciwko niej.

- Twoje zdrowie. Dziękuję za miłe towarzystwo dzisiejszego wieczoru.

- To ja dziękuję za zaproszenie do teatru. Bardzo mi się podobało, chociaż koniec wiele zepsuł.

- W takim razie wypijmy za szczęśliwe zakończenia.

- Za szczęśliwe zakończenia - powtórzyła, unosząc kieliszek.

Ich spojrzenia spotkały się. Oczy Thea zdawały się płonąć, nic więc dziwnego, że Annie zrobiło się gorąco.

Napili się.

- Dziękuję też za obiad. Zrobiłaś pyszne risotto.

- Cieszę się, że ci smakowało.

Znowu się napili.

- Theo, mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Czekał, muszę się przygotować. - Teatralnie wziął głęboki oddech. - W porządku, strzelaj.

- Och, to nic strasznego. Po prostu jestem troszeczkę ciekawa... Wczoraj opowiadałeś o tym, jak podrywałeś dziewczyny. Masz teraz jakąś?

Spuścił wzrok, nie odpowiedział od razu.

- Umawiam się od czasu do czasu, ale aktualnie nie ma w moim życiu nikogo ważnego - zdradził wreszcie.

- Czy kobiety nadal cię onieśmielają?

Roześmiał się.

- Nie przesiaduję już po kawiarniach z książką i fajką, jeśli o to pytasz.

- Dobrze, na razie dam ci spokój w tej kwestii. - Spontanicznie zrzuciła pantofle i usiadła na podwiniętych nogach.

- Pora na łatwiejsze pytanie.

- Już nie mogę się doczekać...

- Co filozofowie mówią o miłości?

Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem, jakby nieco ostrożnym, i upił trochę brandy.

- Już starożytni filozofowie nie byli szczególnie zainteresowani tą kwestią, raczej zostawiali ją poetom. Niektórzy unikali jej również w życiu, bo uczucia mogłyby ich odciągnąć od naprawdę poważnych spraw.

Annie parsknęła z dezaprobatą.

- To też jest poważna sprawa! Nie powiesz mi chyba, że wielcy filozofowie, jedni z najmądrzejszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli, nie mieli nic do powiedzenia na ten temat? Nie wierzę...

- Nie, tego nie powiem... Na przykład według Schopenhauera miłość przysparza kłopotów, lecz potrzebujemy jej, ponieważ od tego zależy istnienie następnych pokoleń.

Annie patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Trudno o wyjaśnienie bardziej pozbawione romantyzmu! I właściwie mało błyskotliwe. Naprawdę filozofów nie stać na nic lepszego?

- Zgadza się, że mężczyzna nie myśli o podtrzymaniu gatunku, gdy prosi kobietę o numer telefonu, niemniej nie jest to powód, by odrzucić tezę Schopenhauera.

- Udowodnij to.

- Otóż chodzi o to, że pociągają nas ci przedstawiciele płci przeciwnej, których geny utworzą dobrą kombinację z naszymi, dając odpowiednie potomstwo. Na przykład mężczyzna o bardzo wydatnym nosie będzie podświado-

mie szukał partnerki o zgrabnym małym nosku, bo wtedy ich dzieci mają szansę mieć nosy proporcjonalne.

- Przecież to brzmi jak czyste wyrachowanie! A gdzie w tym wszystkim emocje, pragnienia, tęsknota, czyli coś, co każdy z nas w którymś momencie zaczyna odczuwać?

Theo szybko odwrócił wzrok.

- Rozmawiamy teoretycznie - zastrzegł równie szybko. - Ta teoria mówi, że proces selekcji i doboru przebiega na bardzo głębokim poziomie, dlatego nie zdajemy sobie z niej sprawy. To tłumaczy, czemu ludzie często zakochują się w niewłaściwych osobach. Czują fizyczny pociąg do kogoś, kto na innych płaszczyznach do nich nie pasuje i stąd się potem biorą ludzkie dramaty. Erica i James z dzisiejszej sztuki byli dobrym przykładem.

Wstrząsnął nią nagły dreszcz, a jej ramiona pokryły się gęsią skórką.

- Naprawdę myślisz, że to się zdarza tak często?

- Oczywiście. Nieustannie widuje się takie pary.

W zamyśleniu zapatrzyła się w brandy. Zakręciła szklaneczką, jak przedtem Theo. Bursztynowy płyn zawirował.

- To pewnie wyjaśnia, czemu tak bardzo mnie pociągasz - powiedziała do szklaneczki.

- Słucham?!

Serce biło jej mocno, gdy powtórzyła swoje słowa, a potem mężnie podniosła wzrok na Thea. Wyglądał na cokolwiek wstrząśniętego, ale na szczęście nie na przerażonego.

- Zobacz, zupełnie do siebie nie pasujemy - ciągnęła. - Przede wszystkim weź pod uwagę różnicę wykształcenia.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Theo odezwał się zmienionym głosem:

- Prędzej martwiłbym się różnicą wieku.

- Akurat tutaj nie widzę problemu. O ile jesteś ode mnie starszy? O dziesięć lat?

- Dziewięć - poprawił błyskawicznie, co dało Annie pewną nadzieję.

Odstawiła szklaneczkę.

- Pewnie znalazłoby się jeszcze sporo powodów, dla których do siebie nie pasujemy.

Nie spuszczać wzroku z twarzy Annie, postawił swoją szklaneczkę obok jej.

- Prawdopodobnie tak.

Zdawało się, że czas się zatrzymał, gdy tak siedzieli bez ruchu, znajdując się na krawędzi czegoś... czegoś bardzo ważnego.

Wreszcie Theo, ku wielkiemu rozczarowaniu Annie, zamknął oczy i jęknął cicho.

- Nie powinniśmy rozmawiać w ten sposób.

- Nie? - W jej głosie zabrzmiał żal.

- Nie. Przyjechałaś do miasta, by spotkać się z kimś innym. Z kimś młodszym. Tak naprawdę jestem intruzem.

- Jeśli mam być szczerą, Damien już zupełnie mnie nie interesuje.

- Mimo to powinnaś szukać towarzystwa młodszych osób, chodzić z przyjaciółkami do pubów czy na dyskoteki, poznać kogoś interesującego...

- Już poznałam. Ciebie.

Westchnął.

- Nie powinnaś się ze mną wiązać, uwierz mi. Tak będzie dla ciebie lepiej.

Ogarnął ją niepokój. Czyżby jej podejrzenia były słuszne? Czyżby Theo wcale nie był aż taki porządny i faktycznie prowadził podwójne życie?

- Czemu? - spytała bez tchu.

- Ponieważ jestem starym nudziarzem od Seneki i Schopenhauera.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- I to wszystko? Właśnie to ma mnie odstraszyć?

Teraz on się zdziwił.

- A czego się spodziewałaś? Długiej listy moich wad? Nie wystarczy ci, że jestem dla ciebie za stary i że jestem nudny?

- Stary? Różnica wieku wcale nie jest taka duża, już ci to powiedziałam. Nudny? W żadnym wypadku. Mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że jeszcze nigdy nie spotkałam równie interesującego mężczyzny.

Aż mu oczy błysnęły i przez moment spodziewała się, że Theo zerwie się z kanapy, skoczy ku niej...

Ale nie.

Zwinął dłoń w pięść, odwrócił głowę w bok, konwulsyjnie zaciskając szczęki. Po długim milczeniu, które Annie z ledwością zniosła, powiedział:

- Nie rozumiem, czemu tak urocza dziewczyna szukała partnera przez Internet. Przecież musiało kręcić się wokół ciebie wielu chętnych.

Och! A więc jego zdaniem była urocza! Przez chwilę aż nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Spotykałam się z paroma chłopcami, ale szybko mnie nudzili. Chyba faktycznie sprawdza się ta teoria, o której mi mówiłeś. Powinnam zakochać się w kimś z mojego otoczenia, tak byłoby najlepiej, a jednak nikt mi się do tego stopnia nie spodobał. Nie wiem, może to dlatego, że przez całe życie miałam do czynienia z mężczyznami z buszu, więc przywykłam do nich. Mężczyźni z dużego miasta wydają mi się dużo bardziej fascynujący.

Theo zmarszczył brwi i ponuro zapatrzył się w podłogę, zaś Annie poczuła się straszliwie głupio. Niepotrzebnie aż tak się odsłoniła. Być może zupełnie błędnie odczytała wysyłane przez niego sygnały. Czyżby te wszystkie spojrzenia i kolejne zaproszenia zupełnie nic nie znaczyły? A jeśli go spłoszyła? Jeśli on żałuje, że zaoferował jej gościnę? Jeśli miał jej dość? Najpierw zasypywała go pytaniami, wreszcie zaczęła mu się narzucać...

Ogarnęła ją panika. Wszystko zepsuła!

Schyliła się, zabrała z podłogi pantofle i wstała.

- Jak chcesz, mogę rano wrócić do Melissy. - Poczowała, że zaraz się rozplacze, więc obróciła się i szybko ruszyła ku schodom. - Dobranoc - rzuciła jeszcze przez ramię i pobiegła na górę.

Theo patrzył w ślad za nią. Rozsądek nakazywał przystać na jej pomysł. Tak będzie najlepiej dla niej i dla niego. Rano odwiezie ją do jej przyjaciółek, wróci do domu sam i z czasem zapomni o wszystkim. Swoim zwyczajem co jakiś czas będzie umawiał się z inteligentnymi kobietami ze swojego środowiska, takimi, które nigdy nie płaczą z powodu nieszczęśliwego zakończenia, choćby było nie wiadomo jak tragiczne.

Ogarnęła go zgroza.

Zerwał się na równe nogi i popędził za nią, przeskakując po trzy stopnie. Annie właśnie zamykała za sobą drzwi sypialni.

- Nie chcę, żebyś się wyprowadzała.

Odwróciła się, oczy lśniły jej podejrzenie.

-Nie?

- Nie. Chcę, żebyś została.

- Zmieniłeś zdanie? Czemu?

Uśmiechnął się.

- Ponieważ jeszcze nigdy nie spotkałem równie interesującej kobiety.

Najpierw na jej twarzy odbiła się konsternacja. Potem radosne zaskoczenie. Na koniec pojawił się przepiękny uśmiech.

- Miło mi to słyszeć.

Zamiast jednak impulsywnie rzucić mu się w ramiona - czego się spodziewał - jeszcze raz życzyła mu dobrej nocy, po czym zamknęła za sobą drzwi, a zdumiony doktor Theo Grainger został sam na korytarzu, zupełnie nie wiedząc, co myśleć.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tak! Tak! Tak!

Annie w euforii tańczyła wokół pokoju, wymachując pantoflami. Uznał ją za najbardziej interesującą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał! I wydawała mu się urocza!

Urocza! Ach, co za wspaniałe, co za cudowne słowo!

On też był uroczy - oczywiście w bardzo męski sposób. Był uroczy od czubka głowy po...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Zaskoczona Annie próbowała zatrzymać się w połowie szalonego piruetu i w efekcie straciła równowagę. Gwałtownie zamachała rękami, pantofle wyleciały jej z dłoni i upadła na podłogę w tym samym momencie, w którym drzwi się otworzyły.

Podniosła wzrok na Thea i zarumieniła się po same uszy, czując, że sukienka podjechała jej wysoko, odsłaniając uda.

- Wybacz. - Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać. - Nie chciałem cię przestraszyć. Bardzo się potłukłaś?

- Nie, wcale - odparła z zakłopotaniem i obciągnęła sukienkę. - Czy... czy życzysz sobie czegoś?

W orzechowych oczach zamigotało rozbawienie.

- Owszem. Przyszedłem się upewnić, czy dobrze zrozumiałem coś, co mi dzisiaj powiedziałaś.

- Mówiłam wiele rzeczy...

- Już uściślam, w czym rzecz. Czy mi się wydawało, czy rzeczywiście powiedziałaś, że bardzo cię pociągam?

- Ach, to... - Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. - Nie wydawało ci się.

Uśmiechnął się i sięgnął po jej rękę.

- To dobrze. Jeśli jeszcze nie zdążyłaś się zorientować, to zdradzę ci, że odczuwam dokładnie to samo w stosunku do ciebie.

- Naprawdę? - spytała bez tchu.

-Tak.

Przez moment z nieopisaną radością patrzyli sobie w oczy, po czym Theo powolutku przyciągnął Annie do siebie. A kiedy otoczyły ją jego ramiona, było tak, jakby pełna nadziei i obietnic wiosna przechodziła w bujne, ekstatyczne lato.

Wargi Thea musnęły jej policzek

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie pociągasz... - wyszeptał.

- Mogłabym powiedzieć to samo - odszepnęła. - Czuję się jak szpilka w pobliżu magnesu.

Zaśmiał się cichutko.

- Nie zamierzam myśleć o tobie jak o szpilce, tylko całkiem inaczej...

Przymknęła oczy, napawając się dotykiem jego warg, które niespiesznie przesuwały się po jej policzku.

- To brzmi groźnie... Czy powinnam się bać?

Pocałował kącik jej ust.

- Nie wiem, czy to nie ja powinienem się bać. Wyjątkowo niebezpieczna z ciebie kobieta, Annie McKinnon.

- Ja? Ale przecież... - zamilkła, gdyż Theo pocałował ją w same usta.

Myślała, że rozpłynie się z rozkoszy. Jego objęcia, jego pocałunki okazały się jeszcze cudowniejsze, niż to sobie wymarzyła. Zupełnie straciła głowę, rozchyliła wargi i wtuliła się w Thea. To spowodowało, że w jednej chwili zapomniał o swym postanowieniu, że będzie się zachowywał powściągliwie jak dżentelmen.

Pocałował ją chciwiej, a jego dłonie przesunęły się po jej ramionach, odnalazły piersi, zaczęły je pieścić przez sukienkę. Annie czuła, jak ciało jej płonie, a pocałunki i dotyk Thea oszałamiają coraz bardziej.

I jak Theo zaczyna przesuwać się z nią w stronę łóżka, delikatnie popychając ją biodrami.

Oooch...

Zaraz znajdą się przy łóżku i...

Przy łóżku Damiena!

Ta myśl podziałała na Annie jak kubeł zimnej wody. Widmo Damiena mieszkało w tym dziwnym, prawie pustym pokoju i weszło pomiędzy nich jak duch. Do licha! Dlaczego musiała o nim pomyśleć akurat w chwili, która mogła być najważniejsza w całym jej życiu?

Theo wyczuł, jak Annie sztywnieje, znieruchomiał więc.

- Co się stało?

Wolałaby tego nie mówić, gdyż za nic nie chciała psuć upojonej chwili, lecz okazało się to silniejsze od niej.

- Damien - powiedziała z trudem.

Theo patrzył na nią z kompletnym zaskoczeniem, wciąż oddychając nierówno. Wreszcie wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok.

- Nadal ci na nim zależy?

- Nie, absolutnie nie! - Zmieszana i półprzytomna aż zakryła twarz dłońmi. - Nie.

- O co więc chodzi? Przestraszyłem cię?

- Też nie. Widzisz... - Rozejrzała się dookoła. - To przez ten pokój. Przez niego robię się trochę nerwowa. Nie rozumiem, czemu zabrałeś stąd wszystkie rzeczy Damiena. Chwilami aż się obawiam...

- Czego?

Zawahała się, po czym szepnęła niepewnie:

- Że to ty nim jesteś.

-Ja?!

Na twarzy Thea odbiła się niekłamana zgroza, która natychmiast rozproszyła podejrzenia Annie.

- Ponieważ nie ma żadnego śladu jego istnienia, a jego cechy i upodobania okazały się twoimi, myślałam, że może udajesz w Internecie kogoś innego. I już nie byłam pewna, co sądzić na twój temat.

Theo pełnym desperacji gestem wzburzył włosy dłonią.

- Wybacz, naprawdę nie chciałam psuć takiego momentu, ale...

- Nie, masz rację, trzeba całą tę sprawę wyjaśnić do końca. Najwyższa pora, żeby mój siostrzeniec zaczął wreszcie ponosić konsekwencje swoich czynów. Skontaktuję się z nim, każę mu wrócić i przeprosić cię za to, co zrobił. - Wyciągnął rękę, delikatnie pogładził Annie po twarzy, uśmiechając się nieco smętnie. - Może i dobrze się złożyło, że to powiedziałaś. Chyba trochę się zapędziliśmy...

Annie ujęła jego rękę, na moment przytuliła do swojego policzka, a potem obróciła głowę i ucałowała wnętrze dłoni Thea. Westchnął i złożył czuły pocałunek na szyi Annie.

- Lepiej pójdę, zanim znowu się zapomnę. Być może już jutro dowiesz się całej prawdy o Damieniu. Dobranoc.

Wyszedł, zaś Annie została z poczuciem ulgi i żalu jednocześnie.

Jedno wiedziała na pewno. Tej nocy zaśnie spokojnie i będzie mieć błogie sny, równie słodkie jak pocałunki Thea, które wciąż czuła na swoich wargach.

Następnego ranka odbyli długi spacer z Basilem, potem odświeżyli się przed śniadaniem. Annie właśnie myła włosy pod prysznicem, gdy przez szum wody usłyszała dobiegający z pokoju gniewny głos:

- Co tu się dzieje? Gdzie są moje rzeczy?

Zamarła w połowie splukiwania szamponu.

- Gdzie mój sprzęt grający? Gdzie moje płyty? Gdzie moje DVD? - wykrzykiwał ktoś z furją. - Co zrobiłeś z moim pokojem? Czemu zerwałeś plakaty ze ścian?

Zakręciła kurki i stała naga i ociekająca wodą, a tymczasem czyjaś pięść załomotała w drzwi łazienki.

- Kto tam jest?

- Chwileczkę! Nie pali się! - odkrzyknęła.

Ktoś zaczął szarpać za klamkę. Wyskakując spod prysznic, Annie uderzyła się boleśnie w palec stopy o próg brodzika. W panice chwyciła duży ręcznik kąpielowy, owinęła się nim ciasno i przytrzymując go mocno jedną ręką, podbiegła do drzwi, odsunęła zasuwkę i uchyliła je nieco.

I oniemiała.

Za progiem stał pryszczaty, może siedemnastoletni chłopak w okularach, bawełnianej koszulce, szortach i sandałach. Na widok Annie opadła mu szczęka, a oczy prawie wyskoczyły z orbit.

Gapili się tak na siebie w absolutnym szoku, gdy do pokoju wpadł Theo.

- Wyjdź stąd natychmiast! - ryknął na chłopaka.

- Theo, co ty? Nie możesz ściągać mnie na złamanie karku ze Złotego Wybrzeża, a potem wywalać z mojego pokoju.

- To już nie jest twój pokój.

Annie przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

Nie, to nie mógł być Damien! Ten smarkacz, który jeszcze nie wyrósł z trądziku, nie miał nic wspólnego z seksownym blondynem o wyglądzie hollywoodzkiego gwiazdora.

Chłopak obrócił ku niej głowę i naraz zaczerwienił się jak burak

- O rany! Przecież to Annie!

Nie mogła się już dłużej łudzić. Rozpoznał ją, a więc to był Damien. Jej wymarzona miłość...

Zrobiło jej się słabo, oparła się więc o framugę, by nie upaść. Naraz z ogromnym zażenowaniem uświadomiła sobie, że ma na sobie jedynie ręcznik. Theo również musiał o tym pomyśleć, ponieważ bezceremonialnie chwycił siostrzeńca za koszulkę i wywłókł na korytarz.

- Skąd mogłem wiedzieć? - protestował Damien. - Przyśłałeś mi SMS-a, że mam natychmiast wracać, no to przyjechałem. Skąd ona się tu wzięła? Co to wszystko znaczy?

Annie słyszała oddalające się gniewne głosy. Czowała się fatalnie, miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Przez kilka tygodni flirtowała z dużo młodszym od siebie chłopcem, który ledwie ukończył szkołę i w żadnym wypadku nie zasługiwał na miano mężczyzny. Przypomniała sobie swoje szczere listy, w których odsłaniała przed nim duszę i aż się wzdrygnęła. Co za upokorzenie!

Jednak zaraz potem ogarnął ją gniew. Jak ten smarkacz

śmiała zabawiać się nią w ten sposób, korzystając z anonimowości Internetu? A to łobuz!

Przypomniała sobie wszystkie epitety, jakimi określili go Mel i Victoria. Zasługiwał na nie, i to nawet bardziej, niż myślały.

Cisnęła ręcznik do kąta, wskoczyła w dzinsy, narzuciła na siebie bluzkę i nie przejmując się mokrymi włosami, zbiegła na dół, by powiedzieć Damienowi, co o nim myśli.

W kuchni wuj i siostrzeniec mierzyli się wściekłymi spojrzeniami.

- Nie obchodzi mnie, dokąd pójdziesz - oznajmił Theo.
- W każdym razie tutaj nie zostaniesz. Najpierw przeprosisz Annie, a potem możesz wracać do swoich kumpli na Złote Wybrzeże.

- Wyrzucasz mnie, bo ona się wprowadziła?

Na twarzy Thea odbiło się zakłopotanie, lecz trwało to króciutki moment, gdyż zdołał je zatuszować świeżym wybuchem oburzenia.

- Pora wreszcie dorosnąć, Damien. Jak zaczniesz ponosić konsekwencje swoich czynów, to może zmądrzejesz. Naraziłeś pannę McKinnon na poważne nieprzyjemności, niewygody i wydatki. Nie zamierzam puścić tego płazem.

Nagle uświadomili sobie obecność stojącej w progu Annie i obrócili się ku niej. Damien ponownie zaczerwienił się na jej widok.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - wybąkał.

- Bardzo słusznie, że ci przykro - rzekła surowo.

- Może byś tak porządnie przeprosił? - wtrącił Theo.

Siostrzeniec łypnął na wuja.

- Przecież już to zrobiłem.

- Nie. Wymamrotałeś pod nosem, że ci przykro, a to za

mało. Staniesz przed panną McKinnon, spojrzysz jej prosto w oczy i powiesz, za co tak naprawdę przepraszasz.

- Ona wie, za co.

Theo zacisnął dłonie w pięści, jakby Damien o jeden raz za dużo nadużył jego cierpliwości.

- Mów, albo tak dostaniesz w ucho, że popamiętasz.

Annie wątpiła, by Theo mógł spełnić swoją groźbę. Siostrzeniec rzucił wujowi wyzywające spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Tylko spróbuj”, ale po chwili spuścił wzrok

- Przepraszam za...

- Patrz na osobę, do której mówisz - zażądał Theo.

Damien, chociaż z wyraźną niechęcią, spełnił polecenie.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Annie. W ogóle nie powinienem był zaglądać na portal randkowy. I powinienem był zakończyć korespondencję, kiedy napisałaś, ile masz lat. Ale nie chciałem zrobić nic złego, to miała być tylko zabawa... Nie przyszło mi do głowy, że przyjedziesz.

Annie aż zmrużyła oczy ze złości.

- Aha, wykorzystałaś mnie dla zabawy. Tylko to żadna przyjemność być zabawką nastolatka, który przechodzi burzę hormonalną.

Damien zrobił się buraczkowy i nic nie odpowiedział.

- Na zdjęciu wyglądałaś zupełnie inaczej - dodała.

Nie wiedział, gdzie ma oczy podziać, a tymczasem wuj powiedział:

- Na domiar złego uciekłeś, zrzucając na mnie załatwienie całej tej sprawy. Dlatego w ramach zadośćuczynienia zaproponowałem Annie, by mieszkała w twoim pokoju tak długo, jak zechce zostać w Brisbane.

Damien już otworzył usta, by zaprotestować, ale zastanowił się i powiedział:

- Co zrobiłeś z moimi rzeczami?

- Przeniosłem je do dziadka.

Chłopak odetchnął z ulgą.

- Może pozwoli mi zostać.

- Nie zasługujesz na to, ale pewnie pozwoli. Będiesz mu jednak musiał wytłumaczyć, czemu nagle zostałeś bez dachu nad głową.

W duszy Annie do głosu doszło współczucie.

- Brak dachu nad głową to chyba zbyt surowa kara...

Theo uciszył ją spojrzeniem.

- Nie obawiaj się, mój ojciec na pewno zgodzi się, by u niego zamieszkał.

Pogodzony z losem Damien przerzucił przez ramię plecak. Teraz, gdy sprawa już się wyjaśniła i emocje zaczęły opadać, Annie zauważyła duże podobieństwo między wujem a siostrzeńcem. Byli podobnej budowy, nosili okulary, na twarzach malowała się inteligencja. Jeszcze pięć, sześć lat, a gdy Damien dorośnie i zmądrzeje, podobieństwo stanie się wręcz uderzające.

- Mam nadzieję, że będzie ci się wygodnie mieszkało w moim pokoju, Annie - rzekł Damien na pożegnanie z zaskakującą uprzejmością, lecz zepsuł efekt, dodając:
- Chociaż w towarzystwie wujka Thea pewnie zanudzisz się na śmierć. Jest okropnie zasadniczy.

- Już cię tu nie ma - warknął Theo.

Kiedy zostali tylko we dwoje, Annie opadła na stołek i z cichym jękiem ukryła twarz w dłoniach. Przypomniała sobie, jak podekscytowana i pełna nadziei udawała się do Brisbane na randkę z mężczyzną swojego życia., z przyszłym nastolatkiem!

- Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Woląłem ci tego zaoszczędzić. - Włączył ekspres do kawy.

- To dlatego zabrałeś z pokoju wszystkie jego rzeczy? Żeby nie domyśliła się, w jakim jest wieku?

-Tak.

- Hm... - Westchnęła. - To było uprzejme z twojej strony, a ja dopiero teraz widzę, jak bardzo okazałam się naiwna, pokonując taką odległość w nadziei na niezapomnianą, romantyczną randkę.

Po kuchni rozszedł się aromatyczny zapach kawy, co trochę uspokoiło Annie. W końcu był piękny, słoneczny poranek, siedziała w kuchni z Theem, znikła dręcząca obawa, czy Damien w ogóle istnieje. Po co psuć dzień złością na siebie i urazą do chłopaka?

- Jak to się stało, że on u ciebie zamieszkał? - zaciekawiała się. - Jesteś jego opiekunem prawnym?

- Nie, to syn mojej siostry. Wychowywała go sama, aż wreszcie przestała dawać sobie z nim radę. Biorąc pod uwagę jego ostatni wybryk, nie dziwisz się chyba... Janie uznała, że chłopak potrzebuje męskiej ręki i poprosiła mnie o pomoc. Pomieszkiwał tu od czasu do czasu, aż w końcu został na dobre.

- Na pewno nie było ci łatwo - rzekła ze współczuciem. Wzruszył ramionami.

- Owszem, Damien okazał się dla mnie sporym wyzwaniem. Ale to nie jest zły chłopak, tylko bardzo jeszcze niedojrzały. W dodatku ma za dużo czasu, bo chciał mieć rok wolnego między szkołą a studiami. Co prawda zatrudnił się jako barman, ale widać praca fizyczna nie wystarcza, żeby wybić z głowy głupie figle, spowodowane, jak słusznie zauważyłaś, wybujałymi hormonami. Na szczęście w przy-

szyłm roku pójdzie na studia i sędzę, że wciągnie się w coś sensownego. To inteligentny chłopak.

- Wiem. Po jego listach nie sposób było się zorientować, że pisze je nastolatek. Za to jasno z nich wynika, jak bardzo cię podziwia.

- Czemu tak myślisz?

- Ponieważ, pragnąc mnie oczarować, udawał ciebie. I nie chodzi tylko o zainteresowanie filozofią, miłość do Włoch i Basila, lecz o sposób wysławiania się, poczucie humoru, wdzięk... Byłam zachwycona takim mężczyzną. - Posłała Theowi nieśmiały uśmiech. - Mężczyzną takim jak ty.

Ich spojrzenia spotkały się. Annie poczuła tak dojmujące pragnienie, że aż nie wiedziała, co z tym począć. Dlatego postanowiła czym prędzej czymś się zająć. Wstała szybko i zaczęła krzątać się po kuchni, by zrobić śniadanie. Theo przyłączył się bez słowa.

Kiedy nieśli pełne tace na patio, Annie się roześmiała.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał zaintrygowany.

- Sposób, w jaki Damien podrywał obcą kobietę przez Internet, wcale tak bardzo się nie różni od poczynań pewnego młodzieńca, którego imię przemilczę, a który przesiadywał po kawiarniach z fajką, mądrą książką i równie mądrą miną.

Theo próbował spiorunować ją wzrokiem, ale mu nie wyszło. Kąciki ust zadrgały mu podejrzenie.

- Oj, Annie McKinnon, zobaczysz, ty się jeszcze doigrasz - pogroził.

- Theo poprosił, żebym poszła z nim na jakieś oficjalne przyjęcie na uniwersytecie - powiedziała Annie Melisie, gdy ta zadzwoniła po południu. - Trochę się denerwuję. O czym będę z tymi ludźmi rozmawiać? Próbowałam

przeglądać jego książki o filozofii, ale to na nic. Zaraz zapominałam, co przeczytałam, płacze mi się jedno z drugim. Może mi powiesz w skrócie, co powinnam wiedzieć?

- Daj spokój, zdążyłam prawie wszystko zapomnieć.

- W takim razie nie wiem, co zrobić. Czuję się strasznie głupia.

Mel wybuchnęła śmiechem.

- Nie jesteś głupsza od nich. Myślisz, że któryś z nich wchłonął całą wiedzę w godzinę czy dwie? Przecież spędzili nad tym długie lata!

- W sumie masz rację. - Annie westchnęła. - Ale pewnie nie będą rozmawiać o pogodzie i jedzeniu jak inni.

- A czemu by nie? Zmiłuj się, przecież to są zupełnie zwyczajni ludzie. Oczywiście nie możesz się zdradzić, że to wiesz. Najlepiej byłoby, gdybyś w ogóle nie pchała się między nich.

- Zgadza się, ale skoro Theo mnie prosił...

- Będziesz się dla niego poświęcać?

- Jest tego wart - odparła z przekonaniem Annie.

Przymknęła oczy i aż zadrżała na myśl o zbliżającym się wieczorze, a szczególnie tej jego części, gdy już wrócą do domu. Miała nadzieję, że będą kontynuować to, co zaczęli poprzedniej nocy.

- Dobrze, w takim razie mam dla ciebie radę. Zapomnij o filozofii, rozpuść włosy, włóż krótką kieckę, pomaluj paznokcie u nóg, a wtedy żaden z profesorów nie będzie pytał, co wiesz o Sokratesie. Czekać, muszę kończyć, bo szef zaraz mi zmyje głowę. Pa! Baw się dobrze.

Gdy znaleźli się na przyjęciu, Annie od razu zrozumiała, że nie będzie bawić się dobrze.

Popęłniła straszliwy błąd. Czemu nie posłuchała Thea,

gdy zapewniał rano, że jej prosta ciemnoczerwona sukienka znakomicie nada się na tę okazję? Po co poszła do tamtego sklepu, gdzie kupiła różowe džinsy i zaczęła przebierać w kreacjach, od których przedtem odciągnęła ją Victoria?

Och, ale po prostu nie mogła się im oprzeć, zdawały się przyzywać ją niczym syreny wabiące żeglarzy. No i w końcu znalazła wśród nich absolutne чудо i oczywiście zakochała się od pierwszego wejrzenia. Sięgająca kolan dość dopasowana sukienka na cieniutkich ramiączkach była uszyta z cielistego jedwabiu ozdobionego bladoróżowymi perełkami i opalizującymi pajątkami. Kiedy ją przymierzyła, poczuła się jak przemieniona za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W lustrze ujrzała młodą kobietę o wyglądzie gwiazdy filmowej.

Niestety nawet prawdziwa gwiazda filmowa byłaby w takiej kreacji nie na miejscu w klubie uniwersyteckim, przeznaczonym dla kadry naukowej. Annie zamarła w progę.

- Czemu mnie nie ostrzegłeś, żebym nie wkładała tej sukienki? - szepnęła ze zgrozą do Thea.

- Nie rozumiem. Przecież wyglądasz przepięknie.

- Ale wszyscy są na czarno!

- Nie wszyscy.

- Ale prawie! - jęknęła, patrząc na ciemne garnitury panów i spokojne kostiumy pań, utrzymane w odcieniach czerni, granatów i brązów. Wyjątek stanowiła jedna kobieta, prawdopodobnie artystka, spowita w bajecznie kolorowe chusty i szale. Ale nawet ona nie miała na sobie nic różowego ani błyszczącego.

W odległym rogu sali, obstawionym palmami w donicach, grał kwartet smyczkowy. Goście zbierali się w niewielkie grupki i stali z kieliszkami w dłoni, dyskutując

z poważnymi minami. Annie pragnęła stąd uciec. Od razu było po niej widać, że nie należy do tego świata, do tej sfery. Jednak Theo opiekuńczym gestem położył dłoń na jej plecach i wprowadził ją do środka.

Pospieszyła ku nim znakomicie zakonserwowana dama, najwyraźniej czująca się w tym środowisku jak ryba w wodzie.

- Theo, mój drogi, jakże się cieszę, że cię widzę - odezwała się starannie modulowanym głosem. - Witam panią. Jestem Harriet Fletcher.

- Miło mi poznać. Annie McKinnon.

- Chyba nie miałam dotąd przyjemności widzieć pani na żadnym z naszych wieczorów?

- Nie, jestem tu pierwszy raz.

Ku zaskoczeniu Annie Harriet ujęła ją pod rękę tak swobodnie, jakby się dobrze znały.

- W takim razie porywam panią. Przedstawię pani wszystkich. Theo, bądź tak łaskaw i przynieś Annie coś do picia.

Nim się spostrzegła, już miała w dłoni kieliszek szampa i już witała się z kolejnymi nieznanymi, nie nadążając z zapamiętywaniem imion. Wkrótce jednak Harriet zostawiła ją z jakąś grupką ludzi, a sama podążyła ku następnym nowo przybyłym. Oszołomiona i skonfundowana Annie rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem Thea, lecz nigdzie go nie dostrzegła.

Najbliżej niej stał łysiejący brodac z sympatycznej twarzy. Widząc jej spojrzenie, uśmiechnął się i zagadnął uprzejmie:

- Pani jest z naszej uczelni?

- Nie, przyszedłam tu jako gość doktora Thea Graingera.

- A jaka dziedzina, jeśli można spytać?

Annie poczuła przyływ paniki. W desperacji uciekła się do żartu.

- Rzucanie siana do zagrody.

Odpowiedziało jej zdumione spojrzenie, więc dodała szybko:

- Przepraszam, to był kiepski żart. Nie zajmuję się żadną dziedziną wiedzy, przynajmniej na razie. Pomagam braćciom prowadzić farmę na północy Queenślandu.

- Naprawdę? To fascynujące!

Dla odmiany zdumiała się Annie, ponieważ brodaczez wykrzyknął to ze szczerym entuzjazmem. Okazało się, że był specjalistą w zakresie ochrony środowiska i badał czystość rzek właśnie w tej części stanu, w której mieszkała. Wdali się w ożywioną rozmowę i gdy Theo wreszcie znalazł Annie, ta z pasją dyskutowała o gatunkach ryb zamieszkujących rzekę Star.

Po kilku minutach przysłuchiwania się, Theo przerwał im z przepaszającym uśmiechem:

- Wybaczcie, proszę, ale niestety muszę zabrać Annie, by poznała parę osób z wydziału filozofii.

Z żalem rozstała się z sympatycznym naukowcem. Znowu zaczęła się denerwować. Ci ludzie pracują z Theem, może nawet przyjaźnią się z nim. Co sobie o niej pomyślą?

- Oni są pewnie bardzo inteligentni? - spytała cicho, gdy szli przez salę.

- Raczej tak - odparł z rozbawieniem.

Kurczowo chwyciła go za rękę.

- Boję się.

- Ty? To niemożliwe. Jesteś dzielna, widziałem przecież, jak... - Urwał nagle.

- Jak co?

Zamiast odpowiedzieć, uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Przy tych wszystkich ludziach!

Podeszli do grupki osób, które nie wyglądały tak, jak Annie wyobrażała sobie filozofów. Żadnych potarganych włosów, żadnych wygniecionych ubrań czy butów nie od pary. Theo dokonał prezentacji, wyjaśnił, że Annie pochodzi z północy stanu i bawi w Brisbane z krótką wizytą.

- Jak poznałaś naszego Thea? - zainteresowała się elegancko ubrana wysoka brunetka imieniem Claudia.

Annie nie miała przygotowanej odpowiedzi. W ustach jej zaschło ze zdenerwowania, na szczęście Theo błyskawicznie wybawił ją z kłopotu.

- Spotkaliśmy się dzięki mojemu siostrzeńcowi. Annie i Damien poznali się przez Internet, dyskutując o filozofii.

- Podzielasz więc nasze zainteresowania - zauważył ktoś inny.

Annie wreszcie odzyskała mowę.

- Oczywiście na niższym poziomie. Potrzebowałabym chyba z tysiąca lat, żeby w pełni rozgryźć jednego tylko Arystotelesa.

Ku jej zaskoczeniu kilka osób ze zrozumieniem pokiwało głowami.

- Co w ogóle Damien teraz robi? - zainteresował się jeden z mężczyzn. O ile Annie zapamiętała, nazywał się Rex.

- Całą masę rzeczy, których robić nie powinien - mruknął z irytacją Theo.

- Ile on ma już lat? Osiemnaście?

- Tak, ale wciąż nie chce zmadrzeć.

- Wyślij go na farmę bydła - zaproponowała Annie. - Parę miesięcy ciężkiej pracy nauczy go rozumu.

Znowu ją poparto z całym przekonaniem.

- Moje dzieciaki uciekłyby stamtąd po dwóch dniach - skomentował jeden z mężczyzn. - Nie ruszą się na krok bez muzyki i słuchawek, a jeśli chodzi o zrobienie sobie jedzenia, to potrafią tylko zadzwonić po pizzę.

Ktoś przyniósł półmisek z ostrygami, poczęstował wszystkich.

- I jak sobie radzisz w wielkim mieście? - spytała Annie Claudia odrobinę protekcyjnym tonem.

Było w tej kobiecie coś, co działało Annie na nerwy.

- Dziękuję, dobrze. Świetnie się tu czuję.

- A nie tęsknisz za buszem?

Claudia ewidentnie wbijała jej szpileczki, lecz Annie nie zamierzała tego znosić. Z niewinną miną przypuściła kontratak:

- Niespecjalnie. Tęsknię jedynie za moją collie, ale Basil, dalmatyńczyk Thea, wynagradza mi jej nieobecność.

Claudia uniosła prawą brew.

- Basil jest taki kochany, prawda? - rzekła z pozorną sympatią, lecz zdradził ją nieco ostry ton głosu.

Obrzuciła Thea szybkim spojrzeniem, co zaalarmowało Annie, która zrozumiała, że tych dwoje coś kiedyś łączyło.

Zaraz potem przyszła następna myśl. Theo chyba nie przypadkiem pocałował ją w rękę na oczach tych wszystkich ludzi. Jego gest mógł być bardziej znaczący, niż początkowo sądziła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Theo miał już dość dzielenia się Annie z tyloma ludźmi. Zrobiła furorę wśród jego kolegów, podobnie jak on zauroczonych jej bezpretensjonalnością i świeżością. Do tego dochodził jej wygląd. Ta sukienka w cielistym kolorze kazała mu myśleć wyłącznie o tym, by wreszcie móc dotykać jej ciała, jej skóry, smakować ją.

W końcu przyszedł moment, na który Theo czekał ze zniecierpliwieniem. Profesor Gilmor wszedł na podium, na którym grali muzycy i gdzie ustawiono mikrofon. Gdy powitał zebranych, rozmowy ucichły i wszyscy zwrócili się ku niemu jak jeden mąż. Theo skorzystał z okazji, wziął Annie za rękę i pociągnął w stronę wyjścia.

- Teraz zacznie się oficjalna część wieczoru i zrobi się jeszcze nudniej - szepnął Annie do ucha. - Chodźmy stąd.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

-Już?

- Pokazaliśmy się, porozmawialiśmy, nie mamy tu nic więcej do roboty.

Wciąż trzymając się za rękę, wymknęli się bocznymi drzwiami.

- Dokąd idziemy? - spytała Annie.

- Do domu. - Ujrzawszy, jak na jej policzkach wykwitły rumieńce, dodał: - O ile nie masz nic przeciwko temu.

- Nie, nie mam...

Kiedy szli przez teren kampusu w kierunku parkingu, Theo mocno walczył z pragnieniem, by zaciągnąć Annie w załom muru i całować do nieprzytomności. Musiał się jednak opanować. Nie wiedział, jak duże jest jej doświadczenie w tych sprawach, w każdym razie obdarzyła go zaufaniem i nie mógł go zawieść. Annie zasługiwała na coś pięknego i romantycznego, więc Theo miał nadzieję, że wytrwa w swoim szlachetnym postanowieniu.

Kiedy wsiedli do samochodu i ruszyli, Annie z wrażenia aż przestała oddychać. Theo zabierał ją do domu. Żeby się z nią kochać.

Od poprzedniego wieczoru panowało między nimi tak pełne napięcia oczekiwanie, że przestrzeń wokół nich zdawała falować napiętnością. Annie była świadoma każdego ruchu Thea, choćby najdrobniejszego. Gdy jechali przez miasto, obserwowała jego dłonie i wciąż wyobrażała sobie, jak to będzie, gdy dotkną jej ciała... Czuła zapach jego wody kolońskiej, cała podekscytowana i zdenerwowana.

Czy się domyśli, że jej doświadczenie w tych sprawach jest niezbyt duże? A jeśli gustuje w wyrafinowanych kochankach?

- Nie pytasz mnie o nic? - zdziwił się Theo. - To do ciebie niepodobne.

- Chwilowo żadne pytania nie przychodzą mi go głowy - skłamała pospiesznie.

Milczeli więc przez resztę drogi. Gdy weszli z garażu do kuchni, podbiegł do nich uradowany Basil i zaczął kręcić się pod nogami, szaleńczo wymachując ogonem. Kiedy już wygłaskali go dostatecznie i trochę się uspokoił, Theo

odłożył kluczyki na granitowy blat. Brzęknęły, a potem zapadła zupełna cisza.

Annie poczuła, że musi coś powiedzieć. Cokolwiek!

- Nie jesteś głodny?

W orzechowych oczach odbiło się lekkie zdumienie.

- Cóż, możemy zjeść kolację, jeśli chcesz.

- Może coś lekkiego? Co powiesz na jajecznicę?

- Co powiem? Hm... Właściwie chętnie...

Kiedy Annie wyjmowała jajka i patelnię, Theo zdejmował marynarkę. Kiedy pobiegła na patio, by uszczknąć trochę świeżych ziół, rosnących w donicach, poluzował i ściągnął krawat.

- Może włączę jakąś muzykę? - zaproponowała.

- Proszę bardzo. Wybierz, na co masz ochotę.

Chwyciła ze stojaka na CD pierwszą płytę, jaka jej wpadła w rękę i chwilę później w kuchni rozległy się słodkie, uwodzicielskie dźwięki nastrojowej ballady. To chyba nie był najlepszy wybór.

Odwróciła się szybko, sięgnęła po jedno z jajek. Omal go nie stłukła z wrażenia, gdy Theo stanął tuż za nią i łagodnie wziął ją za rękę.

- Naprawdę jesteś głodna?

- Nie. To znaczy tak. To jest...

Co się z nią działo? Przecież to wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. Czy naprawdę musiała zepsuć ten wymarzony wieczór?

Theo obrócił Annie ku sobie, wyjął jej jajko z ręki, odłożył, oparł dłonie na jej ramionach i uśmiechnął się.

- Czemu więc robimy jajecznicę, skoro żadne z nas nie chce jeść?

- Bo... Bo myślałam, że może...

Położył jej palec na ustach, więc zamilkła. Serce biło jej tak mocno, że chyba musiał to słyszeć.

- Zapomnijmy o kolacji - rzekł cicho.

Bez słowa skinęła głową, a Theo zaczął delikatnie gładzić kciukami jej obojczyki.

- Wcale nie przestajesz mnie pociągać. Nic a nic.

- Ja... mogę powiedzieć to samo o tobie.

Przesunął palcami wzdłuż ramiączek jej sukienki.

- Przez cały wieczór miałem ochotę powiedzieć ci, jak wspaniale wyglądasz. Przez tę sukienkę trudno mi było skupić się na czymkolwiek.

- Po to ją kupiłam - wyznała spontanicznie.

- O! Czyżbyś planowała mnie uwieść?

- Nie... nie wykluczałam takiej możliwości.

Jego twarz rozjaśniła się uśmiechem, jakiego Annie jeszcze nigdy nie widziała.

- Podoba mi się twój sposób myślenia, Annie.

Najpierw leciuteńko musnął jej usta wargami, aż zadrdzała z niezaspokojonego pragnienia, a potem ujął jej twarz w dłonie i całował długo... długo... z niewyobrażalną słodyczą. W rezultacie Annie zaczęła dygotać na całym ciele, kolana się pod nią ugięły, ale Theo nie pozwolił jej upaść, tylko porwał ją na ręce.

Nie spodziewała się czegoś takiego po poważnym naukowcu.

- Puść mnie, jestem za ciężka!

Nie zważając na jej protesty, przeniósł ją przez pokój dzienny, wstąpił na schody i parę chwil później ułożył na łóżku w swojej sypialni, gdzie paliły się nocne lampki. Znowu wrócił do całowania, tak niespiesznego, jakby przez całą noc nie zamierzał zajmować się niczym innym. Annie

zamknęła oczy i z błogością poddała się rozkosznie słodkim pieścizotom.

Zdenerwowanie powoli ustępowało, z każdą upływającą chwilą rosło zaufanie do Thea, który naprawdę wiedział, co będzie dla niej dobre. Uwodził ją tak pięknie, że nic wspańialszego nie potrafiłaby sobie wymarzyć.

- Masz cudowne usta - szepnął.

- Cudownie całujesz - odszepnęła.

Delikatnie zaczął gładzić jej ramiona. Annie miała wrażenie, że zaczyna się roztopiać pod jego dotykiem. Czego w ogóle się obawiała? Przecież pasowali do siebie idealnie.

Z wrażenia aż wstrzymała oddech, gdy dłoń Thea przesunęła się niżej. Nagle z całej siły zapragnęła poczuć jego ciało na swoim. Usiadła gwałtownie.

- Pomóż mi zdjąć sukienkę. - Obróciła się plecami do niego. - Rozepniesz mi suwak?

Zaśmiał się cicho, zaskoczony jej reakcją i chętnie spełnił prośbę, zaś Annie próbowała ściągnąć z siebie sukienkę tak szybko, jak się dało.

- Czekał, podrzesz ją, a szkoda by było - zaproponował i pomógł jej.

Annie przyglądała się, jak Theo wstaje, podchodzi z sukienką do krzesła i starannie wieszka ją na oparciu, a potem zaczyna się sam rozbierać, swoje rzeczy rzucając na podłogę. Pożerała go oczami, podobnie jak on ją.

Wrócił do łóżka i znów ją całował, lecz tym razem jego dłonie bez oporów błędziły po jej ciele - po biodrach, tali, piersiach... W nieskończenie czuły sposób zdjął z niej bieliznę. Annie z radością i uniesieniem poznawała jego ciało, przesuwał rękami po jego plecach, torsie, brzuchu. I niżej.

Czuła się jednocześnie rozkosznie ociążała i cudownie lekka, kompletnie uległa i doskonale wolna. Coraz bardziej podniecona, z rozkoszą go przyjęła. Wtedy zaczęli się spieszyć, ponieważ żadne nie potrafiło już wytrzymać.

Z cichym jękiem wyszeptała jego imię, a on jej, co stało się kolejną cudowną pieszczotą. A potem wszelkie słowa znikły w żarliwym, zachłannym pocałunku i chwilę później znaleźli się tam, gdzie się nic nie słyszy, nie mówi, nie myśli...

Theo leżał bez ruchu, wpatrując się w sączącą się przez żaluzje poświatę księżyca. Głowa Annie spoczywała na jego ramieniu, czuł na nagiej skórze jej ciepły oddech. Czekał.

Czekał, aż pojawią się wyrzuty sumienia.

Właśnie kochał się z wrażliwą młodą kobietą, która nie rozumiała czegoś takiego jak niezobowiązujący seks. Dla niej tak intymne zbliżenie z pewnością było wstępem do czegoś poważnego.

Ostrożnie, by jej nie obudzić, wsunął palce w jej włosy. Poczucie żalu i wstydu nie chciało nadejść. Theo zaczął badać swoje intencje i ku swemu zaskoczeniu nie doszukał się w sobie żadnej winy. To, co zaszło między nimi, w żadnym wypadku nie było przygodne i niezobowiązujące.

Owszem, rozsądek ostrzegał go przed takim krokiem, przypominając o różnicy wieku, wykształcenia i doświadczeń. Trudno, widać Theo stracił głowę. Ale w zamian odzyskał serce.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia zafundowali sobie dość wyrafinowane i... bardzo późne śniadanie, gdyż po przebudzeniu kochali się znowu, starając się, by trwało to jak najdłużej. Theo wcale nie spieszył się z wyjściem do pracy, więc Annie skorzystała z tego i zamiast szybko przyrządzić tosty, zrobiła naleśniki z truskawkami i bitą śmietaną, gdyż tak wyjątkowy dzień zasługiwał na coś specjalnego.

Siedzieli na patio, zjadając naleśniki, całując się co chwila, napawając się swoim szczęściem. Nad ich głowami świeciło słońce, na ich stopach rozciągnął się Basil, co chwila z radością uderzając ogonem o ziemię. Mówili sobie, jak bardzo są szczęśliwi, zastanawiali się, czy do psa to dociera i czy zwierzęta mogą odczuwać podobną błogość jak oni w ten cudowny poranek.

Żadne z nich nie poruszało kwestii, jak trwale może być takie odczucie.

- Wielkie nieba! Czyli to się jednak stało, tak? - zawołała Mel, ledwie ujrzała Annie, gdy ta przyszła na umówiony lunch.

Annie wpadła w panikę. Czy to możliwe, by było po niej widać, co robiła ostatniej nocy? Zaczerwieniła się.

- To znaczy co? - wymamrotała.

- Zakochałaś się po same uszy.
- To widać?
- Oczywiście! Bije od ciebie taki blask, że mogłabyś oświetlić pół miasta zamiast elektrowni. A on? Czy też stracił głowę dla ciebie?
- Cóż... Wygląda na to, że chyba tak.
- Gratulacje! Poderwać doktora Graingera to nie było jakie osiągnięcie. Pobiłaś te wszystkie dziewczyny, które przez lata nie zdołały tego dopiąć.

Annie aż zatkało. Nie postrzegала tego, co się stało między nią a Theem w kategorii bicia rekordów czy rywalizacji z kimkolwiek. Dla niej było to coś bardzo, ale to bardzo niezwykłego. Kiedy odzyskała głos, zmieniła temat, dopytując, co słyszeć u przyjaciółek. Na szczęście Melisse zaprosił w następnym tygodniu na randkę kolega z pracy, więc Annie bez trudu udało się skierować rozmowę na bezpieczne tory. Wolą słuchać o Mel i Billu, niż zwierzać się, co naprawdę łączy ją z Theem.

Dopiero gdy się zegnały, Mel nawiązała do pierwotnego tematu.

- Co zamierzasz zrobić, Annie? Wracasz w przyszłym tygodniu do domu, czy zostajesz u doktora Graingera?
- Jeśli wszystko dobrze się ułoży, nie wrócę już do Southern Cross - odparła bez namysłu Annie i dopiero po chwili przeżyła wstrząs, uświadamiając sobie, z jaką łatwością przyszłoby jej odmienić całe swoje życie.

Następne dni upłynęły jak w bajce. Weekend mieli cały tylko dla siebie i poświęcili go na zwiedzanie Brisbane.

- Twój entuzjazm jest zaraźliwy - wyznał zachwycony Theo. - Dzięki tobie widzę moje miasto nowymi oczami.

Od poniedziałku Annie w ciągu dnia krzątała się po domu, zabierała Basila na spacer i odwiedzała galerie oraz muzea. Wieczorami nie mogli się z Theem dość nakochać... i nagadać. Po raz pierwszy ktoś chciał wiedzieć o niej wszystko, po raz pierwszy kogoś naprawdę interesowało, co ona myśli, co przeżyła w przeszłości, co odczuwa obecnie, jakie snuje plany na przyszłość. W dodatku tym kimś był człowiek niezwykle, człowiek, którego podziwiała. Jego zainteresowanie pochlebiało jej.

- Opowiedz mi o swoim ulubionym miejscu - poprosił któregoś wieczoru, gdy leżeli nadzy, skąpani w świetle księżyca. - Na pewno jest w Southern Cross takie miejsce, dokąd chodzisz, kiedy potrzebujesz samotności.

- Owszem, nad strumień.

Pocałował ją w skroń.

- Zamknij oczy, wyobraź sobie, że tam jesteś i opisz mi wszystko ze szczegółami, żebym też mógł to zobaczyć.

- Dobrze... Siedzę na brzegu strumienia, dość wysokim, porośniętym trawą. Nie jest gorąco, bo eukaliptusy rzucają cień. Nad samą wodą rosną trzciny. Woda jest czysta, bardzo ciemna i myślisz, że wcale się nie porusza, ale nagle widzisz, jak przed tobą powoli przepływa liść. Po powierzchni przemykają nartniki, wiesz, takie pająki, które szybko poruszają się po wodzie...

- Wiem.

- Wokół ich odnóży rozchodzą się małe kręgi...

Na przeciwnym brzegu rośnie melaleuca, tak przechyłona, że wygląda, jakby miała zaraz wpaść do strumienia... ale nie wpada. Dookoła panuje cisza i spokój. Czasem słyhać, jak wiatr szeleści w trzcinach, czasem odzywają się miodojady...

- Nie brakuje ci tego?

Nie widziała twarzy Thea, lecz wydało jej się, że w jego głosie pobrzmiwało zaniepokojenie. Czule potarła policzkiem o jego ramię.

- Nie. Kocham busz i z pewnością będę go chętnie odwiedzać, ale nigdy nie czułam się z nim aż tak związana jak moi bracia. Rozumiesz, oni nie mogliby mieszkać nigdzie indziej, za to ja od jakiegoś czasu miałam wrażenie, że się duszę. Potrzebowałam stamtąd uciec, marzyłam o wielkim mieście. Tak naprawdę Damien posłużył mi jako pretekst.

To go uspokoiło.

Po chwili Annie przewróciła się na brzuch i popukała Thea palcem w ramię.

- Hej, nie śpij! Teraz twoja kolej.

Zamruczał coś sennie, lecz nie dała mu się tak łatwo wykręcić.

- No, opowiedz mi o swoim ulubionym miejscu. Takim, które znajduje się we Włoszech.

- Najpierw musisz mnie pocałować.

Annie z przyjemnością spełniła to żądanie.

- Opiszę ci widok z pokoju, który wynajmowałam podczas studiów w Rzymie. Znajdował się w starej, malowniczej dzielnicy Trastevere, przyciągającej muzyków, pisarzy i artystów z całego świata. - Otoczył Annie ramionami i zamknął oczy. - Jest ranek, otwieram okiennice... W dali widzę wzgórze, na nim cyprysy, wąskie jak włócznie, wycelowane w niebo...

Przebiegł ją dreszcz.

- Mów dalej. Widzisz jakieś budynki?

- Skośne dachy kryte dachówką, kopuły i wieżyczki. Starożytne budowle i rzymskie ruiny sąsiadują z nowoczes-

ną architekturą. A pod samym oknem jest maleńki placyk. Przy fontannie siedzi stary człowiek. Właściciel kawiarni otwiera nad stolikami kolorowe parasole. Inny mężczyzna rozstawia stojak z gazetami.

- A gdzie kobiety? Jeszcze śpią?

Roześmiał się.

- Jedna kobieta podlewa na swoim balkonie czerwone pelargonie. A wszędzie dookoła czuć zapach świeżego pieczywa.

- Mmm, cudownie... Chciałabym kiedyś to wszystko zobaczyć.

- Zabiorę cię tam.

Usiadła gwałtownie, oczy jej zalśniły.

- Naprawdę?!

- Tak - odparł, chyba równie jak ona zaskoczony łatwością, z jaką złożył tę obietnicę.

Annie najchętniej chodziła z Basilem na spacer w te okolice domu Thea, gdzie było najmniej nowoczesnych budynków, za to stało sporo niedużych, dość wiekowych domków z malutkimi ogródkami. Ich mieszkańcy wydawali się ogromnie sympatyczni, często przesiadywali na werandach, pozdrawiając przechodzącą Annie uśmiechem i skinieniem głowy jak ludzie w Mirrabrook, dzięki czemu czuła się prawie jak w domu.

W ten sposób poznała George'a.

Podczas jednego ze spacerów ujrzała miłego starszego pana, który opierał się o furtkę swego ogródka, wyglądając na ulicę, jakby na kogoś czekał. Uśmiechnęła się i powiedziała przyjaźnie:

- Dzień dobry!

- Dzień dobry! - odparł, a wtedy dalmatyńczyk rzucił się ku niemu w radosnych podskokach. Starszy pan poklepał psa po kształtnym łbie. - Basil, witaj, staruszkule!

- O, widzę, że to stara znajomość - zauważyła wesoło Annie.

- Owszem. Jestem jego dziadkiem.
Annie zdębiała.

Widząc jej skonfundowaną minę, starszy pan się roześmiał i wyjaśnił:

- Jestem George Grainger, ojciec Thea. A ty musisz być Annie.

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Nie przyszło jej do głowy, że ojciec Thea może mieszkać tak blisko nich.

- Słyszał pan o mnie?

- Oczywiście, moja droga. I od wnuka, i od syna.

Zacząła dostrzegać wyraźne podobieństwo między nimi trzema. George wydawał się najniższy, ponieważ przygarbił się z powodu wieku. Miał palce wykręcone artretyzmem, pobrużdżoną twarz i zupełnie białe włosy, lecz ukryte za okularami orzechowe oczy błyszczały równie jasno jak u Thea i Damiena.

Ciekawe, co mu o niej powiedzieli. I co musiał sobie myśleć o kobiecie, która zamieszkała z jego synem, ledwie go poznawszy.

- Pewnie zastanawiał się pan, czemu Damien wyprowadził się od Thea... - zaczęła ostrożnie.

- Theo zajrzał tu w zeszłym tygodniu i wyjaśnił mi, co zaszło. Oczywiście jego wersja różniła się trochę od wersji, którą usłyszałem od wnuka. Cóż, musimy wszyscy poczekać, aż ten chłopak wydorosłeje. Nie ma go zresztą, jest

teraz w pracy... - Ku zaskoczeniu Annie odsunął zasuwkę i otworzył furtkę na oścież. - Może wejdiesz?

Basil już gwałtownie pchał się do środka, więc Annie przyjęła zaproszenie.

- Widać, że lubi do pana przychodzić - zauważyła.

- Zatrudnia mnie do drapania za uszami. Zajmuję się nim, gdy Theo wyjeżdża.

Annie poszła za Georgeem ocienioną ścieżką, która biegła dookoła domku i prowadziła do uroczego ogródka warzywnego, gdzie na równiutkich grządkach pyszniły się do-rodne pomidory, rozłożysta sałata i złocista kukurydza.

- Ależ tu u pana wszystko rośnie! - zawołała z niekłamanym podziwem. - W ogóle bardzo tu ładnie.

- To również dawny dom Thea, nie wiem, czy wspominał ci o tym.

-Nie.

- Spędził tu całe dzieciństwo i wczesną młodość, potem studiował w Europie, a kiedy wrócił, kupił dom w sąsiedztwie, bo jego matka zachorowała i chciał być blisko nas. - George milczał przez chwilę. - Umarła cztery lata temu.

- Tak mi przykro...

- Wejdiesz do środka? Może masz ochotę na coś zimnego do picia? - spytał, patrząc na nią prosząco.

Zrozumiała, że dokucza mu samotność. Nie mogła mu odmówić.

- Dziękuję, chętnie. Nie zabawię jednak długo, jestem umówiona.

Weszła z nim do uroczej niedużej kuchni i usiadła przy drewnianym stole, pomalowanym na zielono. Podczas gdy George nalewał lemoniadę, rozglądała się dookoła. Oczyma wyobraźni widziała, jak mały Theo po zabawie

w ogródku wpada do środka jak bomba, oczywiście zapominając o wytarciu butów, jak myszkuje po szafkach w poszukiwaniu ciasteczek lub konfitur. Ciekawe, czy któregoś dnia uda jej się zobaczyć jego dawny pokój. Dałaby głowę, że po nocach czytał pod kołdrą przy latarce.

Pan Grainger podał jej lemoniadę, usiadł wraz z nią przy stole i poprosił, by mu opowiedziała o swoim życiu na farmie. Nie minęło dziesięć minut, gdy Annie uświadomiła sobie ze zdumieniem, że w skrócie opowiedziała mu o sobie prawie wszystko. Może to przez te orzechowe oczy, tak samo mądre, jasne i przyjazne jak u syna... Dowiedział się więc o jej braciach, o śmierci ojca, o tym, jak matka wróciła do rodzinnej Szkocji, o niezrealizowanych dotąd planach podjęcia studiów. Annie przyznała mu się nawet do tego, jak bardzo czuła się samotna, co pchnęło ją do nawiązywania znajomości przez Internet.

- Musisz tęsknić za matką.

- Tak - rzekła krótko, gdyż jak zwykle zaczęło dławić ją w gardle, gdy przypominała sobie, jak łatwo przyszło mamie rozstać się z dziećmi i wyjechać do Europy.

George zmienił więc temat i zajął się Theem. Wspaniały syn, ze świecą szukać lepszego. I jak się uczył! I jak wspornie grał w rugby, nawet przez dwa lata występował w reprezentacji stanu Queensland. Potem zaczął robić karierę uniwersytecką, aż z żoną nie mogli się nadziwić, skąd mają takiego mądrego syna. A do tego z oddaniem zajmował się siostrzeńcem, z którego inaczej pewnie nic dobrego by nie wyrosło.

Annie mogłaby siedzieć u pana Graingera godzinami, ponieważ na temat Thea oboje byli gotowi rozprawić w nieskończoność. Właściwie mogli założyć Fanklub

Thea... Była jednak umówiona na lunch z Mel, więc nestety musiała się zbierać. Uczyniła to z prawdziwym żalem. Odprowadził ją do furtki.

- Zagląдай do mnie, dobrze?

- Z największą ochotą, panie Grainger - rzekła zupełnie szczerze.

- Mów mi George. - Uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Długo na ciebie czekałem, Annie.

- Nie rozumiem.

- Czekałem, aż mój syn znajdzie tę jedyną. Ty nią jesteś.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

- Nie wiem... Nie wiem, co powiedzieć.

- Wybacz, jeśli wprawiłem cię w zakłopotanie, nie chciałem. I nie obawiaj się, nie powtórzę tego przy moim synu. - Pochylił się i pogłaskał Basila po głowie. - Bo chyba nie będę musiał, prawda, staruszkę? Jeśli twój pan naprawdę jest taki bystry, za jakiego uchodzi, sam na to wpadnie.

Theo wracał do domu - do Annie - z bukietem pięknych kwiatów, z butelką znakomitego wina i pysznym jedzeniem z najlepszej w mieście tajskiej restauracji. Tak, życie jest piękne.

Po południu zadzwonił do domu, lecz Annie jeszcze nie wróciła, więc zostawił jej na sekretarce wiadomość, by nie gotowała obiadu. Wyobrażał sobie, jak się ucieszy na widok bukietu, z jakim apetytem będzie pałaszować jedzenie, jak będzie się delectować winem. Nigdy nie kryła zachwyty, potrafiła być wdzięczna za najdrobniejsze gesty czułości i wszystko budziło jej entuzjazm.

Jej spontaniczność i radość życia okazały się zaraźli-

we. Parokrotnie w ciągu minionego tygodnia Theo przyłapał się na tym, że pogwizdywał wesoło. W pracy! Jego dobry humor nie uszedł oczywiście uwagi kolegów, ale Theo nic sobie nie robił z ich spojrzeń i uszczypliwych komentarzy, na przykład z pytań, czy układa nową „Ode do radości”.

Jedyną rzeczą, jaka mąciła szczęście Thea, była myśl o powrocie Annie do Southern Cross. Przecież przyjechała do Brisbane tylko na krótko! Koniecznie musi ją przekonać, by została. Przedstawi ją ojcu, na pewno przypadną sobie do gustu. Jego kochany staruszek będzie nią zachwycony. Jak dobrze, że mieszkają tak blisko siebie. Annie zaczęnie do niego zaglądać podczas spacerów z Basilem, poczuje się mniej samotny. Na razie miał u siebie Damiena, lecz chłopak za rok pójdzie na studia i dobrze, by zamieszkał w internacie, gdzie nauczy się samodzielności. Tak, Annie musi zostać dla dobra wszystkich.

Na pewno zostanie. Theo uśmiechnął się na tę myśl, lecz ledwie skreślił w swoją ulicę, uśmiech znikł z jego twarzy. Już z daleka ujrzał zaparkowany pod domem znajomy ciemnozielony samochód.

Claudia.

Co ona tu robi? Nie miał szczególnie rozwiniętej intuicji, jednak tknęło go złe przeczucie. Jego niezadowolenie pogłębiło się, gdy wyobraził sobie cyniczną reakcję Claudii na widok kwiatów i wina. Już miał zostawić bukiet w samochodzie, by nie narażać się na nieprzyjemne komentarze, jednak lojalność wobec Annie wzięła górę. Niech sobie wszyscy myślą i mówią, co chcą.

Obie kobiety siedziały przy stoliku na patio, popijając wino.

- Theo, jak uroczo wyglądasz! - zawołała Claudia na jego widok. - Powinieneś częściej chodzić z kwiatami.

- Witaj - rzekł z chłodną grzecznością, po czym uśmiechnął się ciepło do Annie. - Cześć. Jak lunch?

- Lunch był bardzo miły - odparła, subtelnie dając do zrozumienia, że to, co miało miejsce później, miłe już nie było. - Przepiękne lilie.

- Zaniosę je do kuchni i wstawię do wody. Zaraz do was dołączę.

Ku jego zaskoczeniu Claudia wstała od stołu.

- Pójdę z tobą, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Sprawa zawodowa - dodała. - Obawiam się, że mam złe wieści.

- Nie mogłaś porozmawiać ze mną na uczelni?

- Miałam ważne spotkania, dopiero teraz znalazłam wolną chwilę. Przyjechałam tu ze względu na starą przyjaźń, ponieważ nie chciałam, żebyś dowiedział się tego od osób postronnych.

- Ale czego?

Rzuciła wymowne spojrzenie na Annie, która zaczerwieniła się lekko.

- Wolałabym porozmawiać z tobą na osobności - rzekła Claudia.

- W takim razie chodźmy do mojego gabinetu. Annie, musimy cię na chwilę przeprosić.

Annie z ciężkim sercem wstawiła przyniesioną przez Thea butelkę białego wina do lodówki, by się schłodziło, a potem umieściła w wysokim szklanym wazonie szkarłatne i kremowe lilie. W innej sytuacji nie posiadałaby się z zachwytem, lecz wizyta Claudii kładła się cieniem na wszystkim.

Przed przyjściem Thea spędziły razem pół godziny. Claudia niby dopytywała o życie w północnym Queenslandzie, lecz z ledwością ukrywała znudzenie tematem, kiedy zaś Annie zaczęła wypowiadać się o Brisbane, niemal jawnie okazała jej politowanie. Całym swym zachowaniem dawała jasno do zrozumienia, choć oczywiście nie sformułowała tego tak dobitnie, że doprawdy nie pojmuje, jak taki inteligentny i czarujący człowiek jak Theo mógł się zadać z beznadziejnie głupią gęsią z głębokiej prowincji. Annie musiała mocno ugryźć się w język, by nie poinformować Claudii, że ludzie z buszu nie są bandą prymitywnych analfabetów, którzy co najwyżej potrafią brzdąkać na banjo.

By poprawić sobie nastrój, przyklękła przy Basilu i przytuliła go.

- Ty rozumiesz, co czuję, prawda?

W odpowiedzi przejechał jęzorem po jej szyi i zapisał cichutko, jakby chciał ją pocieszyć.

- Całkiem dobrze się dogadujecie, jak widzę - rozległo się od progu.

Annie podniosła się szybko, zaskoczona, gdyż nie słyszała kroków. Spojrzała ponad ramieniem stojącej w wejściu Claudii, lecz nie ujrzała Thea.

- Skończyliście już rozmawiać?

- Tak. Chyba powinnaś iść do biedaka i go pocieszyć.

- Jak to? Co się stało? - spytała ze zgrozą Annie.

- Theo podpisał kontrakt na wykłady do końca roku, niestety wydział ma poważne problemy finansowe, więc trzeba było podjąć szereg bolesnych dla wszystkich decyzji. Kontrakt Thea nie zostanie przedłużony.

Annie wydała zdławiony okrzyk.

- Stracił pracę?

- Domyślałam się, w jakim jesteś szoku - ciągnęła Claudia.
- Widziałam w zeszłym tygodniu, jak bardzo starałaś się dopasować do naszego środowiska. Niestety nie będzie ci to pisane. - Wyjęła z torebki kluczyki od samochodu, ujęła jeden z nich długimi, zwinnymi palcami i w zamyśleniu popukała nim w brodę, przyglądając się Annie dziwnym wzrokiem. - Przykro ci, prawda?

- Oczywiście! Ogromnie mi żal Thea.

- I słusznie, że jest ci przykro... - rzuciła wymownym tonem Claudia.

Annie była zbyt zdenerwowana, by brać udział w niejasnych gierkach. Straciła cierpliwość.

- Czy to miała być jakaś aluzja?

- Naprawdę nie dostrzegasz istoty problemu?

Annie po raz pierwszy w życiu miała ochotę komuś zdrowo przyłożyć.

- Jak mi powiesz, w czym rzecz, to może pojmem. Claudia aż przewróciła oczami.

- Tak, czasami człowiek nie chce zrozumieć, jaki ciężar stanowi dla bliskiej osoby...

- Ciężar? - powtórzyła z osłupieniem Annie. Nagle nogi się pod nią ugięły. - Chcesz mi powiedzieć... To przeze mnie Theo stracił pracę?

Claudia nie odpowiedziała, lecz jej pełen satysfakcji uśmiech mówił sam za siebie. Obróciła się i wyszła.

Annie zrobiło się słabo. Czy to możliwe, by zdołała zaszkodzić naukowej karierze Thea? Przecież ledwie zdążyli się poznać...

Przypomniała sobie tamto przyjęcie w klubie pracowników uniwersyteckich. Swoją cielistą sukienkę. To, jak Theo pocałował ją w rękę przy wszystkich. To, jak wymknęli się,

ledwie zaczęła się część oficjalna. Ich zachowanie na pewno wywołało plotki, ale w dwudziestym pierwszym wieku żadną miarą nie mogło uchodzić za skandal. Nikt nie pozbywałby się świętego wykładowcy tylko z tego powodu, że ten miał romans.

Chyba że chodziłoby o zemstę...

Teraz Annie nie miała już żadnych wątpliwości co do istoty stosunków łączących niegdyś Thea i Claudię. I co do tego, które z nich wycofało się ze związku, a które wciąż nie chciało się z tym pogodzić.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Annie pospieszyła do gabinetu Thea. Serce krajało jej się z bólu i przerażenia. Jeśli to naprawdę przez nią, to...

Siedział przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach, a Annie na ten widok zamarła w progu i stała tak, próbując się opanować. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to jej płacz i histeria.

Patrzyła na jego ciemne włosy, połyskujące w świetle lampy, i aż dławiło ją w gardle z tęsknoty i wzruszenia. Tak bardzo go kochała... Nie zniosłaby, gdyby musiała go zostawić.

Minęła minuta, może dwie. Theo opuścił ręce i wyprostował się. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Annie weszła do pokoju.

- Theo, tak mi przykro...

- Claudia ci powiedziała?

- Tak. - Zbliżyła się do niego, dotknęła dłonią jego policzka. Chociaż Theo starał się zachować dzielną minę, widziała, jak bardzo wstrząsnęła nim ta wiadomość. - Nie rozumiem tego. Jak uczelnia może coś takiego robić?

- Jak? Bardzo łatwo, jak widać.

- Ale tak zupełnie bez ostrzeżenia?

- Zazwyczaj, gdy nie zamierza się przedłużyć z kimś kontraktu, sygnalizuje się to wykładowcy z pewnym wyprzedzeniem. Nie ma jednak przepisu, który zabraniałby przeprowadzić to w ten sposób.

- Może to i zgodne z przepisami, ale tak się nie robi. To okrutne! - Kiedy nie odpowiedział, spytała: - Czemu akurat Claudia przyjechała z tą wiadomością?

- Ponieważ to ona kieruje wydziałem.

- Co takiego?! To ona cię zatrudnia?

- Co w tym dziwnego? - Ujrzawszy jej wyraz twarzy, dodał: - To bardzo inteligentna i kompetentna kobieta.

Annie prychnęła z pogardą.

- Nawet jeśli, to postępuje nieetycznie, wyrzucając cię w ten sposób. - Zaciśnęła usta, by nie powiedzieć, co naprawdę myśli, ale nie wytrzymała. - Czy ona aby nie jest w tobie zakochana?

Theo aż drgnął z zaskoczenia.

- Skądże! - zaprotestował, odwracając wzrok.

A więc to tak... Potwierdzały się jej najgorsze przypuszczenia.

- Czy coś was kiedyś łączyło?

Spojrzał jej prosto w oczy i ujął ją za rękę.

- Tak, ale dawno. Od dwóch lat to tylko przeszłość.

- Może dla ciebie, lecz nie dla niej. Kto powiedział, że zazdrość to zielonooki potwór? Szekspir? W każdym razie widzieliśmy dziś tego potwora w akcji.

Zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie, nawet gdyby Claudia jeszcze coś do mnie czuła, nigdy by się nie zniżyła do czegoś podobnego.

Annie wystarczyło spędzić w towarzystwie tej kobiety pół godziny, by nie mieć żadnych wątpliwości co do tego,

do jakich niskich czynów Claudia jest zdolna, gdy tylko służy to jej celom.

- Nie zgadzam się z tobą, przykro mi. Sam powiedziałaś, że jest inteligentna i kompetentna, tymczasem zwolniła jednego z najlepszych wykładowców, co nie jest ani logiczne, ani sensowne. Musiały więc kierować nią inne pobudki.

- Nie możesz wiedzieć, jakim jestem wykładowcą.

- Tak się składa, że wiem. Uczyłeś kiedyś Mel, opowiadała mi o tobie. Jednak to, co się stało, nie ma nic wspólnego z jakością twojej pracy. - Podeszła do okna i stanęła plecami do Thea, gdyż nie wiedziała, czy zdoła w dostatecznym stopniu zapanować nad emocjami. Lepiej, by nie widział wyrazu jej twarzy. - Wyrzucono cię z mojego powodu. - Z trudem zdławiła szloch. - To przeze mnie masz problemy.

- Nie! Nie możesz tak mówić! - zareagował gwałtownie.

- To nie ma absolutnie nic wspólnego z nami.

Jemu więc Claudia nic nie powiedziała. Sprytnie. Bardzo sprytnie.

- Niestety, ma. Uwierz mi. Gdybyśmy się rozstali, twój kontrakt zostałby od razu przedłużony.

Theo podniósł się zza biurka, podszedł do niej i ujął ją za ramiona.

- Mylisz się, nic podobnego by nie nastąpiło. Na uniwersytecie nie załatwia się spraw w ten sposób.

Annie zamknęła oczy, by powstrzymać łzy, lecz bez skutku. Gdy Theo ujrzał, że Annie płacze, przygarnął ją mocno do siebie.

- Nie wolno ci nawet myśleć o rozstaniu ze mną.

Poczuła gorące pocałunki na szyi, mokrym policzku, skroni. Potem Theo obrócił ją ku sobie.

- Ta cała historia to naprawdę nie twoja wina.

Annie wiedziała lepiej, ale gdy dotknął wargami jej ust, zapomniała o wszystkim. Później pomyśli o tym, co powinna zrobić. To znaczy wiedziała, co musi zrobić... Ale to potem...

Poddała się pocałunkom i pieszczotom Thea. Już o niczym nie myślała. Jak i o czym miałyby myśleć, gdy rozpiął guziki jej bluzki? Gdy wyciągała mu koszulę ze spodni? Gdy przesuwając wargami po jej skórze wzdłuż koronkowych ramiączek staniczka? Gdy sięgała do suwaka jego dżinsów?

Liczyło się jedynie to, że byli razem, ofiarowując sobie nawzajem niezmierną czułość i zachwyty, wyrażając swoje uczucia w najszczerzy, najbardziej intymny sposób.

Potem ubrali się i chichocząc cicho, pozbierali papiery, które zrzucili z biurka Thea. Poszli do kuchni, gdzie podgrzali jedzenie z tajskiej restauracji i zjedli je, siedząc po turecku na podłodze w pokoju dziennym, popijając schłodzonym winem i podziwiając przepyszny bukiet lilii.

- Co teraz zrobisz? - spytała Annie, gdy sprzątnęli po kolacji.

- Zaczę szukać pracy.

- Czy w Brisbane znajdzie się inna posada wykładowcy?

- Nie sądzę. Na pewno nie w przyszłym semestrze, może coś zwolni się w następnym.

- Jeśli będziesz musiał wyjechać, to co się stanie z Damienem? I z Georgeem?

- Z kim?

- Twoim ojcem. No wiesz, to ten sympatyczny starszy pan, który mieszka zaraz za rogiem w niedużym białym domku.

Jednocześnie uśmiechnął się z rozbawieniem i ze zdumieniem ściągnął brwi.

- Skąd wiesz?

- Poznałam go rano podczas spaceru z Basilem. Czuję, że założymy Fanklub Thea Graingera.

Rozpogodził się po raz pierwszy tego wieczoru.

- Co za pomysł!

- Na pewno będzie miał wielu członków, przystaną do niego i moje przyjaciółki, i Giovanni... - ciągnęła, starając się poprawić mu humor.

- Może Fanklub wystawi mi dobre referencje - zażartował ponuro.

Nie będziesz ich potrzebował, gdy zrobię to, co chcę zrobić, pomyślała i wstrząsnął nią dreszcz.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się.

- Nic. - Zdobyła się na blady uśmiech. - Po prostu martwię się tym, co się stało.

- Nie ma potrzeby. Zamierzam potraktować to jak wyzwanie. Kto wie, czy nie wyniknie z tego coś dobrego.

- Widzę, że zaczynasz podchodzić do tego filozoficznie.

- Co w tym złego?

- Nic, tylko że to w ogóle nie powinno się wydarzyć.

Nie potrafiła znieść świadomości, że całe dotychczasowe życie Thea rozsypuje się z jej powodu. Jak poczuje się George, gdy syn będzie musiał wyjechać? Co stanie się z Damienem, który wciąż potrzebował opieki wujka? Czy Theo będzie umiał ich zostawić?

Nie będzie musiał, jeśli ona zdobędzie się na odwagę i naprawi, co nieświadomie zepsuła.

- Nie bierz sobie tego wszystkiego aż tak do serca - powiedział Theo i zaczął z wycuciem masować jej kark

i ramiona. - Jesteś cała spięta... Pozwól, że się tym zajmę
- wymruczał jej do ucha. - Proponuję położyć się wcześniej.. . Rano zobaczysz wszystko w lepszym świetle.

Nie tym razem, pomyślała z rozpaczą, lecz odegnała od siebie czarne myśli, postanawiając wykorzystać czas, jaki jej pozostał, czyli tę jedną jedyną noc.

- Zajmij się więc mną, właśnie tego mi najbardziej trzeba - odparła, obracając się ku Theowi, by zatonać w jego objęciach.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oczywiście wiedziała, że to będzie trudne, lecz nie przypuszczała, że aż tak bardzo.

Trzykrotnie wybierała numer Claudii i trzykrotnie stchórzyła. Nie widziała jednak innego wyjścia. Rozmyślała o tym przez całą noc, tuląc do serca dłoń śpiącego Thea, i nie znajdowała żadnego innego rozwiązania.

W ogóle nie spała, żal jej było każdej chwili. W półmroku przyglądała się Theowi, w myślach obsypując go najczulszymi pocałunkami, dobrymi myślami, obdarzając błogosławieństwem kochającego serca. Rano Theo obudził się wypoczęty i w pełni gotów stawić czoło nowej sytuacji. Kiedy wychodził na uczelnię, gdzie miał przez cały dzień sprawdzać prace z egzaminu pisemnego, Annie musiała przywołać na pomoc swój hart ducha, by się nie rozplakać.

Widzieli się po raz ostatni, lecz on o tym nie wiedział. Pożegnał ją pocałunkiem, wyszedł z domu, przy furtce obrócił się i pomachał stojącej w progu Annie. Niewiele brakowało, by pobiegła za nim i rzuciła mu się na szyję, mówiąc, że nigdy go nie opuści.

Wytrzymała.

Czekała ją jeszcze rozmowa z Claudią. Pomyśl, że robisz to dla Thea, przykazała sobie w myślach. Zde-

cydowanie chwyciła za słuchawkę i ponownie wybrała numer, który znalazła w notesie leżącym na biurku. Na szczęście był to bezpośredni numer do gabinetu Claudii, więc Annie przynajmniej nie musiała najpierw opowiadać się sekretarce.

- Claudia Stanhope, słucham.

Potwornie zdenerwowana Annie w pierwszej chwili nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Robisz to dla Thea, pamiętaj...

- Dzień dobry, tu Annie McKinnon.

- Dzień dobry - odparła Claudia chłodno, lecz nie udało jej się ukryć zaskoczenia. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Sama się zorientujesz.

- Słucham?

- Dzwonię, by ci powiedzieć, że wyjeżdżam z Brisbane i zostawiam Thea. Wracam do domu. - Głos jej zadrżał.

W słuchawce przez długą chwilę panowała cisza.

- Biedny Theo - rzekła z nieszczerym współczuciem Claudia. - Ale dlaczego mi o tym mówisz?

- Dobrze wiesz.

-Co?

- Nie zamierzam zniżać się do dosłowności. Z twoim wykształceniem na pewno wszystko zrozumiesz. - Ledwie panując nad łamiącym się głosem, zakończyła: - Zostawiam Thea. Na zawsze!

Cisnęła słuchawkę na widełki, opadła na kuchenny stół i rozsłochała się. A więc jednak zrobiła to. Wyrzekła się Thea. Zaraz zniknie stąd i już nigdy więcej go nie zobaczy.

Jak ona to zniesie? Już nie spotka nikogo podobnego. Był mężczyzną jej życia. Podziwiała jego umysł, uwielbiała

jego charakter i ciało, kochała jego uśmiech i dżentelmeński sposób bycia, przy czym w pewnych momentach ów dżentelmen zmieniał się w płomiennego kochanka...

Och nie, jeśli zaczniesz myśleć o pocałunkach, pieszczotach i dotyku Thea, to będzie płakać przez najbliższych sto lat... Musiała wziąć się w garść, by do końca naprawić to, co Claudia próbowała zniszczyć.

Usłyszała zgrzyt pazurów po szkle i uniosła głowę. Basil rozpaczliwie drapał pazurami w zamknięte drzwi kuchni, wyczuwając smutek osoby, która stała się jego ukochaną panią. Annie wpuściła go do środka, uklękła przed nim i pozwoliła mu polizać się po twarzy.

- Ja też będę za tobą tęsknić. Opiekuj się Theem, dobrze?

- Po raz ostatni przytuliła głowę do jego szyi.

Kiedy chciała się wyprostować, poczuła lekkie szarpnięcie. Jej ulubiona żółta wstążka, którą związywała włosy, zaczepiła się o jego obrożę. Annie nie namyślała się długo. Ściągnęła wstążkę, owinęła nią kółko do przyczepiania smyczy i zawiązała.

- To na pamiątkę naszej przyjaźni, Basil.

Wiedziała, że tak zachowują się egzaltowane nastolatki, ale nie potrafiła się powstrzymać. Poczowała się trochę lepiej, zostawiając coś po sobie w domu, z którym musiała rozstać się na zawsze.

Podniosła się. Pora zadzwonić po taksówkę.

- Zastąłem Annie? - spytał Theo, ledwie otworzyły się drzwi.

Mel patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Doktor Grainger? Co za niespodzianka.

- Szukam Annie. Zastąłem ją? - powtórzył, dziwiąc się,

że zdołał to powiedzieć całkiem spokojnym tonem, chociaż wszystko się w nim gotowało.

- Tutaj? Przecież powinna być u pana.

Nadzieje Thea legły w gruzach. Zmełł w ustach przekleństwo.

- Co się stało? - spytała ostro Mel, nie zapraszając go do środka. W jej oczach pojawił się niepokój.

- Annie znikła. Muszę ją odnaleźć.

- Czy to znaczy, że spakowała swoje rzeczy i zostawiła pana?

Zostawiła go... Straszne, zimne słowa, które brzmiały jak wyrok.

- Tak - rzekł z trudem. - Napisała list, ale... Ale on niczego nie wyjaśnia.

- Mogę go zobaczyć?

Zawahał się.

- Zależy panu na mojej pomocy? - spytała rzeczowo Mel.

Nie miał wyjścia. Z ociąganiem wyjął z kieszeni kartkę, której treść znał na pamięć.

Drogi Theo!

Muszę zniknąć z Twojego życia, niedługo zrozumiesz, dlaczego.

Tak będzie dla Ciebie najlepiej.

Wszystkiego dobrego,

Annie

Przeczytawszy ten krótki liścik, Mel podniosła głowę i ponuro spojrzała na Thea, krzyżując ramiona. Poczuli się nagle jak uczeń, któremu nauczycielka zamierza dać burę.

- Co pan jej zrobił?

- Nic! Po prostu zaistniała pewna sytuacja...
- Jaka sytuacja? - warknęła gniewnie Mel.
- To zbyt skomplikowane, bym mógł to pokrótce wyjaśnić. Naprawdę...
- Czy chodzi o inną kobietę?
- Tak. - Na widok wyrazu jej twarzy poprawił się szybko: - Ale nie w takim sensie, o jakim pani myśli! Nie widuję się z nikim innym i wcale nie o to chodzi, ale Annie sędzi... - Urwał i przejechał dłonią po twarzy. - Nie kontaktowała się więc z panią?
- Nie.
- W takim razie najprawdopodobniej wróciła do Southern Cross.
- Mel pośpiesznie pokiwała głową.
- Możliwe. Od początku wiedziałam, że to się źle skończy. .. Miałam rację.
- Theo chciał zaprotestować, lecz postanowił nie sprzeczać się z przyjaciółką Annie. Rozpaczliwie potrzebował jej pomocy.
- Czy powiadomi mnie pani, jeśli ona się do pani odezwie? Proszę...
- Zmrużyła oczy i oszacowała go baczny spojrzeniem.
- To będzie zależało od tego, co powie Annie. Może nie będzie sobie życzyła mieć z panem do czynienia.
- Błagam! - Znajdował się w takiej desperacji, że nie przejmował się, czy wypada mu aż tak bardzo otwierać się przed byłą studentką. - Muszę z nią porozmawiać.
- Nie odpowiedziała od razu. Zazwyczaj Theo doceniłby taką ostrożność, ale nie w tej sytuacji.
- Jest pani jej przyjaciółką i zależy pani na jej dobru, prawda? Mnie też - przekonywał. -I oboje się o nią martwimy.

- Pan wie, że nie jest jej obojętny? - spytała, starannie dobierając słowa.

Serce zabiło mu mocniej.

- Dlatego koniecznie muszę ją znaleźć.

Jej spojrzenie złagodniało.

- Dobrze, jeśli Annie zadzwoni, postaram się ją namówić, by skontaktowała się z panem. W każdym razie dam panu znać.

- Ale od razu, jak tylko zadzwoni! Koniecznie!
Uśmiechnęła się lekko.

- Masz na to moje słowo, Theo.

Annie ze zniecierpliwieniem wypatrywała końca drogi. Chciała już mieć za sobą tę koszmarną podróż. Stariała się nie myśleć o tym, w jakim stanie ducha wyruszyła w przeciwną stronę. Do Brisbane jechała podekscytowana, snując czarowne plany w związku z czekającą ją randką, a wróciła ze złamanym sercem, bezbrzeżnie nieszczęśliwa. Po co w ogóle wyjeżdżała?

Wreszcie zakurzona pocztowa furgonetka skręciła między dwa rzędy eukaliptusów. W oddali wśród liści błysnął dach domu, potem między pniami zaczęła prześwitywać świeża zieleń trawnika, wreszcie wyłoniła się przysadzista weranda, a przy niej coś śmignęło.

Lavender!

Annie nie miała pojęcia, jakim cudem jej ukochana colie zawsze bezbłędnie odgaduje, że ona wraca, w każdym razie nieodmiennie witała ją pierwsza. Tak, cokolwiek się działo, jedno w życiu Annie było absolutnie pewne - bezgraniczna miłość i wierność jej psa.

Z trudem odsunęła od siebie myśl o innym psie, które-

go musiała pożegnać na zawsze poprzedniego dnia, i odwróciła się do kierowcy.

- Może zajdziesz do nas na herbatę, Ted?

- A, bardzo chętnie. - Skinął głową. - Kapkę zaschło mi w gardle.

Kiedy stanęli przed werandą, Annie otworzyła drzwiczki, zeskoczyła na ziemię, a Lavender runęła na panią, piszcząc, skomląc, wymachując ogonem i liżąc Annie po twarzy jak szalona.

- Już dobrze, dobrze... - mówiła Annie ze śmiechem.

- Jak też cię kocham. Jasne, zjedz mnie...

Podniosła się z klęczek i rozejrzała dookoła. Reid wciąż przebywał w Lacey Downs, zastępując ich zarządcę, Rogersa, ale w Southern Cross powinien przecież znajdować się i Kane, i ta Angielka, która chwilowo prowadziła dom, i Vic, ogrodnik.

- Hej, jest tu kto? - zawołała.

Cisza.

Annie nie spodziewała się, że zastanie dom zupełnie pusty. Rozpaczliwie potrzebowała towarzystwa, by choć trochę oderwać myśli od tego, co ją dręczyło. Szczególnie cieszyła się na poznanie owej Angielki, ponieważ obecność drugiej kobiety na kompletnie zmaskulinizowanej farmie była naprawdę pożądana.

Westchnęła i sięgnęła do furgonetki po swój bagaż.

- Idę, Annie! - rozległo się gromko z wnętrza domu.

Otworzyły się drzwi na werandę i Kane, wysoki, jasnowłosy, ubrany w kraciastą koszulę, spłowiałe dżinsy i zakurzone buty do konnej jazdy, już zbiegał po schodach. Dopiero na jego widok zrozumiała, jak bardzo pragnęła go zobaczyć. Owszem, gdy byli młodszy, bracia potrafili swymi

docinkami doprowadzić ją niemal do płaczu, ale po śmierci taty wszystko się zmieniło. Była szczęśliwa, że ich ma.

Z ulgą wpadła w objęcia Kane'a, a on przytulił ją mocno, jakby doskonale rozumiał, jak ona się czuje i czego potrzebuje.

Wreszcie rozluźnił uścisk, odsunął się od Annie na krok i opierając dłonie na jej ramionach, przyjrzał się uważnie siostrze.

- Nie spodziewałem się, że tak szybko wrócisz. Jak się czujesz?

- Ja? Dobrze - wyznała mężnie.

- Na pewno? Bo wyglądasz... No, nietęgo.

Annie spuściła oczy. Nie mogła mu powiedzieć prawdy. Po pierwsze, od razu by się rozpląkała, a nie chciała robić z siebie widowiska przy Tedzie. Po drugie, równie impulsywny jak ona Kane mógłby polecić najbliższym samolotem do Brisbane, by rozszarpać na kawałki mężczyznę, przez którego jego siostra była nieszczęśliwa.

Nie mogła jednak w nieskończoność stać bez słowa, gapiąc się w ziemię. Podniosła wzrok na brata i nagle uderzył ją wyraz pustki w jego niebieskich oczach i napięte rysy twarzy.

- Ty też - rzekła równie otwarcie. - Wszystko u ciebie w porządku?

Z roztargnieniem wykonał nieokreślony gest i zwrócił się do listonosza:

- Cześć, Ted, przepraszam, że się nie przywitałem, tyle na głowie... Możesz zabrać kogoś do miasta?

- Ano mogę.

- Kogo? - zdumiała się Annie. - Czyżby tę Angielkę?

- Skąd wiesz o Charity? - Ton jego głosu zdradzał zdenerwowanie.

- Reid wspomniał, że znalazłeś kogoś do pomocy.
- Aha. Tak, wyjeżdża - mruknął ponuro i kopnął kęp-
kę trawy.

Annie nie pytała już o nic. Zrozumiała, że coś musiało się wydarzyć podczas jej nieobecności i jeszcze bardziej pożałowała swojego wyjazdu do Brisbane. Gdyby została w domu, może zapobiegłaby nie jednemu, ale dwóm nieszczęściom...

Ledwie Reid McKinnon wrócił do domu z Lacey Downs, zorientował się, że z jego rodzeństwem nie jest najlepiej.

- Co z wami? - spytał, gdy usiedli razem do kolacji. - Chorowaliście oboje czy co? Annie, jesteś blada i wyglądasz, jakbyś od miesiąca oka nie zmrużyła. A ty, Kane, masz minę, jakby cię skazano na ciężkie roboty.

Z zakłopotaniem wzruszyli ramionami. Intuicyjnie rozumieli się nawzajem, ale nie dopytywali o szczegóły. Annie domyślała się, że Kanea przybił wyjazd Charity Denham, ślicznej, uroczej, rudowłosej i zielonookiej dziewczyny. Kiedy się z nim żegnała, widać było wyraźnie, że między nimi coś jest... Mimo to wyjechała. Czemu brat pozwolił jej odejść?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Reid pokiwał głową i zmienił temat na mniej osobisty, mianowicie opowiedział, jak się mają sprawy w Lacey Downs. Jednak Annie znała go dobrze i wiedziała, że nie odpuści, póki się nie dowie, co się dzieje z jego rodzeństwem i jak może im pomóc, tylko poczeka na odpowiedniejszy moment.

Okazja nadarzyła się szybko, bo już następnego poranka.

- Fiuu! Ale odlotowe spodnie! - Reid zajrzał do jej pokoju, gdy prasowała różowe dżinsy. - Pewnie kupiłaś je w Brisbane?

- Tak, Mel i Victoria mnie namówiły.
- I jak ci się udał pobyt? - zagadnął, opierając się o framugę.

- Świetnie.

- Myślałem, że zostaniesz dłużej. Jakoś tak nagle wróciłaś...

Wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Annie, wyglądasz jak własny cień.

A czuję się jeszcze gorzej, pomyślała. Miała wrażenie, że wszystko się w niej rozpadło, roztrzaskało na kawałki, i już nigdy nie zdoła pozbierać tego w jakąś całość, by się zrosło. Już nigdy nie będzie tą osobą, co dawniej.

- Uważaj, spalisz nowe spodnie.

Oprzytomniała, pospiesznie odstawiła żelazko, schowała dzinsy do szafy i odwróciła się do brata. W szarych oczach ujrzała takie współczucie, że omal się nie złamała i nie wyznała, co ją dręczy. Reid też swego czasu dał jej nieźle popalić, ale od śmierci taty dogadywali się znakomicie. Był mniej impulsywny od Kane'a, bardziej wrażliwy i potrafił wspaniale słuchać.

- Podobno nie chcesz odbierać telefonów od pewnego faceta z Brisbane. - Reid nie spuszczał z siostry zatroskanego spojrzenia. - Kane mi powiedział.

Poczuła, że się rumieni.

- Nie będę z nim rozmawiać.

- Dlaczego? Kto to jest?

Nawet gdyby chciała mu to wytłumaczyć, nie wiedziała, jak to zrobić, by nie doszedł do błędnego wniosku, że Theo był czemukolwiek winien. Cała ta bolesna sytuacja wydawała się tak straszliwie pogmatwana...

- Annie, czy on ci coś zrobił?

- Nie.
- Zdradź przynajmniej, jak się nazywa.
- To bez znaczenia. On... Po prostu poznałam go i on...

Widać próbuje podtrzymać kontakt, ale...

- Ale chcesz, żeby dał ci spokój, tak?
- Tak - rzekła ledwie słyszalnym głosem.
- Prześladowuje cię? Próbował cię napastować?
- Nie! - odparła z oburzeniem. - Nic z tych rzeczy!
- No to co doprowadziło cię do takiego stanu? Pojechałaś

wypocząć, a wróciłaś jak przekrecona przez wyżymaczkę.

- Widać za dużo balowałam z przyjaciółkami. Nie martw się, nic mi nie jest. Po prostu przesadziłam, za bardzo próbowałam wykorzystać ten wyjazd.

Prychnął z irytacją. Sądziła, że nie przyjmie jej wytłumaczenia i będzie nadal nękał ją pytaniami, ale nagle zmienił zdanie.

- W takim razie dobrze by ci zrobiły prawdziwe wakacje.
- Możliwe - odparła zaskoczona. - I zmiana otoczenia.

W tym momencie domyśliła się, że cała ta rozmowa od początku do czegoś zmierzała.

- Co masz na myśli?
- Ostatniej nocy rozmawiałem dość długo z Kaneem.
- Przyznał się, że stracił głowę dla Charity Denham?

Reid się uśmiechnął.

- Tak, wydusiłem to z niego. Poradziłem mu więc, byjechał za nią do Anglii i wyprostował sprawy.

- Dobra rada! - zawołała z entuzjazmem. - Posłucha jej, mam nadzieję?

- Owszem. I ty też powinnaś posłuchać rady, jaką mam dla ciebie. Jedź z nim.

Aż otworzyła usta ze zdziwienia, a potem przewróciła oczami.

- Po co ma zabierać z sobą siostrę, gdy jedzie zdobyć kobietę? To ostatnia rzecz, jakiej mu potrzeba.

- Możecie polecieć razem do Wielkiej Brytanii, a kiedy Kane będzie dogadywał się z Charity, ty odwiedzisz w Szkocji mamę.

Och!

Odwróciła wzrok, chcąc zyskać na czasie, by nie odpowiadać od razu.

- Nie chcesz jechać? - spytał Reid.

W innej sytuacji z radością skorzystałaby z okazji, ponieważ ogromnie tęskniła za mamą. Jednak nie wiedziała, czy zdoła oddalić się od Thea aż tak bardzo. Może to było dziecinne, skoro i tak musiała zniknąć z jego życia, ale co innego znajdować się w tym samym kraju, choćby dzielił ich tysiąc kilometrów, a co innego po przeciwnej stronie globu.

- Nie w tym rzecz. Po prostu nie mogę zostawić cię tu samego bez żadnej pomocy.

- Poradzę sobie, nie martw się. W miejsce Kanea najem dodatkowego robotnika, a z Richmond może przyjechać kucharka, już się dowiadywałem.

- A co z papierkową robotą? Musiało się jej nazbierać podczas mojej nieobecności.

- Te arkusze kalkulacyjne, które zainstalowałaś w komputerze, są bardzo dobre, poradzę sobie. Gdybym miał jakieś kłopoty, Sarah Rossiter na pewno mi pomoże.

Annie pogroziła mu palcem.

- Nie traktuj jej jak służącej. Myślisz, że ma mało pracy? Sama, bez niczyjej pomocy, prowadzi szkołę i nie może przybiegać na każde gwizdnięcie.

Ku jej zaskoczeniu twarz Reida aż pociemniała z oburzenia.

- Nigdy więcej nie mów, że traktuję Sarah jak służącą. I że można na nią gwizdać.

Ho, ho! Od kiedy to jej brat stał się taki czuły na punkcie jedynej nauczycielki w Mirrabrook?

- Przepraszam, nie chciałam nikogo urazić...

Opanował się.

- Słuchaj, tak naprawdę trudno o lepszy moment na wyjazd. Zakończyliśmy wypas, będzie mniej pracy. Jedźcie. Kane nie powinien odwlekać rozmowy z Charity, a tobie dobrze zrobi oderwanie się od tutejszych problemów.

Jak widać, na wszystko miał gotową odpowiedź.

- Ale czy stać nas na dwa bilety lotnicze do Europy? W Brisbane korzystałam z karty kredytowej częściej, niż zamierałam... - przyznała ze wstydem.

- Poradzimy sobie - zapewnił.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. A może faktycznie powinna wyjechać? Z każdym dniem czuła się coraz gorzej i coraz rozpaczliwiej tęskniła za Theem. Istniała możliwość, że wreszcie się złamie, nie wytrzyma i któryś jego telefon odbierze... Jeśli znajdzie się w Szkocji, nie będzie musiała odpierać pokus.

Odetchnęła głęboko i odwróciła się do Reida.

- Dzięki za propozycję, przemyślę ją.

- Tylko się z tym pospiesz, bo Kane już się spakował.

Theo odłożył pióro i wstał zza biurka. Nie potrafił skupić się na pracy, a musiał ocenić i egzaminy, i wciąż napływające prace semestralne, więc na blacie piętrzyła się sterta

papierów, które musiał uważnie przeczytać. Niestety, mógł myśleć tylko o Annie.

Gdzie była? W domu? Ilekroć dzwonił do Southern Cross lub na jej komórkę, włączała się sekretarka, nagrywał więc kolejne prośby o kontakt, ale ani razu nie otrzymał odpowiedzi. Jej konto mailowe automatycznie odrzucało jego listy, bo był na liście zablokowanych nadawców. Melissa też się nie odzywała.

Gdyby tylko mógł, wsiadłby w pierwszy samolot lecący do Townsville, tam wynajął samochód, pojechał na farmę, a gdyby nie zastał Annie, nie ruszyłby się stamtąd tak długo, dopóki nie znalazłby kogoś, kto by mu powiedział, gdzie jej szukać. Nie mógł jednak z powodów osobistych porzucić swoich obowiązków na uczelni, i to w czasie trwania sesji, gdy wszystkich goniły terminy.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie udręczony i bezradny. Do tej pory zawsze znosił wszelkie przeciwności losu ze stoickim spokojem, lecz zniknięcie Annie okazało się dla niego takim ciosem, że filozofia nie przynosiła żadnego pocieszenia.

Ale trudno się dziwić, skoro samo jej pojawienie się wstrząsnęło nim do głębi. W foyer hotelu „Pinnacle” aż wpadł na kolumnę, gdy po raz pierwszy ujrzał cudownie ożywioną twarz i błyszczące oczy. A to przecież był dopiero początek... Impulsywna, radosna, dociekliwa, dzielna i zmysłowa Annie McKinnon niepostrzeżenie znalazła drogę do jego serca i zawładnęła nim całkowicie, gdy więc znikła, Theo poczuł się tak, jakby się w jednej chwili rozsypał. I wiedział, że niczego nie da się z powrotem poskładać, jeśli nie znajdzie Annie.

Powinien był zwrócić większą uwagę na jej samooskarżenia. Wbiła sobie do głowy, że to przez nią stracił pracę,

co oczywiście było absurdalne. Ona jednak wierzyła w to mocno i najprawdopodobniej dlatego...

- A, jesteś! - rozległo się za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył w uchylonych drzwiach jednego z wykładowców, Reksa Bradleya.

- Pukałem, ale nie odpowiadałeś.

- Przepraszam, Rex, nie usłyszałem. Wejdź, proszę. Wydajesz się być w znakomitym nastroju.

- Bo właśnie wyszedłem od Claudii i przynoszę dobre wieści.

- Dostałeś stałą umowę?

- Zmiłuj się, za kogo ty mnie masz? Myślisz, że przyszedłbym chwalić się przed tobą, jak mi się udało? Nie, mam dobre wieści dla ciebie, a raczej dla nas wszystkich. Jej wysokość raczyła mnie powiadomić, że jednak znajdują się fundusze na kontynuację twojego kursu w przyszłym semestrze.

Krew odplynęła Theowi z twarzy.

- Słucham?

- Claudia zmieniła zdanie, odnowi twój kontrakt.

- Ale dlaczego?

- Trudno mi na to odpowiedzieć. Pewnie opamiętała się i dotarło do niej wreszcie, jak głupio robi, pozbywając się jednego z najlepszych wykładowców. W każdym razie zostajesz z nami.

- Czekał, ale czy to nie znaczy, że ktoś wyleci zamiast mnie? - zaniepokoił się Theo.

- Nawet w takiej sytuacji myślisz o innych. - Rex pokiwał głową. - Nie, nikomu nic nie grozi. Claudia znalazła jakieś fundusze i na wszystko starczy.

Theo wpatrywał się w niego ze zgrozą. Annie miała ra-

cję. Niemożliwe, by budżet wydziału, który dopiero co wymagał cięć, raptem rozciągnął się, jakby był z gumy.

- Czemu sama nie przysłała mi tego powiedzieć?

- Musiała biec na samolot, ma jakieś ważne spotkanie w Sydney, tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna. Moim zdaniem było jej głupio, dlatego poprosiła, żebym to ja przekazał ci tę informację. Oczywiście masz też decyzję na piśmie. - Rex podał mu kartkę papieru.

Theo rzucił ją na biurko, nawet nie patrząc. Wszystko już rozumiał. Annie poświęciła się dla jego dobra, ponieważ odgadła, o co w tym wszystkim chodzi. A on nie zorientował się nawet wtedy, gdy Claudia zadzwoniła do niego i niby niewinnie spytała, co u Annie. Nie wzbudziło to jego podejrzeń, ponieważ - naiwny głupiec! - nie wierzył, by jego szefowa, a zarazem dawna przyjaciółka była zdolna do jakiegokolwiek nieuczciwości. Odparł więc szczerze, iż Annie wyprowadziła się od niego.

Zgodnie z przewidywaniami Annie to wystarczyło, by dostał z powrotem pracę. Nie mieściło mu się to w głowie. Jak Claudia miała czelność dopuszczać się tak podłych manipulacji? Jak śmiała ingerować w jego życie osobiste?

- Co się dzieje? Myślałem, że się ucieszysz, Theo - spytał zdumiony Rex.

Z czego miał się cieszyć? Był zdruzgotany.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Grudzień tuż przed świętami Bożego Narodzenia to nie najlepsza pora na odwiedzanie Szkocji, gdy przywykło się do upalnego klimatu na północy stanu Queensland.

Annie spacerowała nad brzegiem jeziora Menteith, starając się wyobrazić sobie tę scenerię w środku lata, gdy woda połyskuje w słońcu, otoczona świeżą zielenią lasów, autokary dowożą turystów, a w łódkach tkwią rybacy z zarzuconymi wędkami. Teraz panowała tu cisza, romantyczne jezioro w samym sercu Trossachs miało barwę ołowiu, a dookoła leżał śnieg. I było tak straszliwie zimno!

Z drugiej jednak strony ten surowy, posepny krajobraz doskonale pasował do nastroju Annie. Jej serce było równie smutne, puste i pozbawione życia. Zapatrzyła się na wysepkę na środku jeziora i jej myśli pomknęły do Thea, ponieważ na cokolwiek patrzyła, zawsze go widziała.

Przyjazd do Europy wcale jej nie pomógł.

Oczywiście cudownie było znowu zobaczyć mamę, poznać jej przyjaciół i spokojne miasteczko Aberfoyle, gdzie mieszkała razem z ciocią Florą. Gdyby jednak Theo mógł być przy niej... Tęskniła za jego dotykiem, za rozmowami, za wszystkim. Chciałaby odkrywać Szkocję razem z nim. Och, z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, jak idą po chrześzczącym śniegu, gdy z ciemnego nieba

powoli opadają grube płatki i jak ona opowiada ukochanemu mężczyźnie o legendarnym Rob Royu i o mnichach z opactwa, wzniesionego przed wiekami właśnie na owej wysepce na środku jeziora. Zabrałaby go w swoje ulubione miejsca - do zapierającego dech w piersiach zamku Stirling, na przepiękny kamienny most nad wodospadami w Killin.

Niestety, bez Thea uroki Szkocji blakły i nic jej nie cieszyło. Gdyby byli razem, wszystko odzyskałoby barwy...

Wstydziła się swojej słabości, lecz gdyby zadzwonił jeszcze raz, odebrałaby, choć przecież obiecywała sobie być dzielna i wreszcie o nim zapomnieć. Ale jak mogła zapomnieć o mężczyźnie swego życia?

W tym momencie odezwał się jej telefon komórkowy. Serce podskoczyło jej do gardła, ale natychmiast zganiała się za głupotę. To na pewno nie Theo.

Ręce jej dygotały. Wyszarpnęła telefon z kieszeni i zobaczyła na wyświetlaczu, że to Kane.

- Cześć - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał w miarę normalnie. - Co u ciebie?

- Żenię się z Charity! - wykrzyknął z euforią.

- Och, Kane! To cudownie! Kiedy ślub?

- Za dwa tygodnie. Tutaj, w Derbyshire. Oczywiście musisz przyjechać razem z mamą i ciocią Florą.

- Pewnie, że przyjedziemy, i to z największą radością! Gratulacje, Kane. Słysząc po twoim głosie, jaki jesteś szczęśliwy.

- Jak nigdy w życiu. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie.

- Nie... Nie mam.

- Słuchaj, zadzwonię niebawem, powiem ci dokładnie,

co, gdzie i jak, bo na razie szczegóły jeszcze nie są dograne. Aha, byłbym zapomniał... Jak ci się podoba w Szkocji?

- Bardzo tu pięknie. Dzisiaj zrobiłam sobie wycieczkę nad jezioro. A jak tobie podoba się Derbyshire?

- Jest bombowe. Hollydean, gdzie mieszka Charity, wygląda jak bajkowe miasteczko z pocztówki świątecznej. Rozumiesz, domki, żelazne latarnie, śnieg...

- W ogóle Wielka Brytania jest bardzo ładna, nie uważasz? - rzekła z przekonaniem. - Dzwoniłeś do Reida?

- Tak, musiał dowiedzieć się pierwszy, bo gdyby nie on, dalej siedziałbym w Southern Cross jak zbity pies. A dzięki tobie nie musiałem jechać sam. Denerwowałam się jeszcze bardziej... Jestem wam obojgu do zgonnie wdzięczny.

- Cieszymy się wraz tobą, braciszku.

Pożegnali się ciepło. Annie zawróciła w stronę samochodu, stojącego samotnie na parkingu. Powtarzała sobie, jak bardzo się cieszy szczęściem brata, ale nic nie mogła poradzić na to, że jeszcze dobitniej uświadomiła sobie, co straciła. Widziała jedynie pustkę. Czowała się tak, jakby wleciała do pozbawionej dna studni i spadała, spadała... Znikąd ratunku. I żadnej nadziei.

Rozpaczliwie potrzebowała Thea. Musiała się z nim skontaktować. Nie wytrzyma już ani jednego dnia, ani jednej godziny.

Serce biło jej mocno, gdy wyobrażała sobie, jak zbiera się na odwagę i kolejno naciska cyfry znanego na pamięć numeru. W Australii jest późny wieczór, lecz Theo pewnie jeszcze nie śpi.

Tak, zrobi to.

Musi się dowiedzieć, czy przedłużono mu kontrakt i czy jej ofiara nie poszła na marne.

Doszła do samochodu, oparła się o maskę, ściągnęła rękawiczkę i zgrabiałym palcem wystukała numer Thea. Boże, co ona mu powie? Że po prostu musiała go usłyszeć?

Ledwie mogła oddychać. Zamknęła oczy, przycisnęła telefon do ucha. Jeden sygnał... drugi... trzeci...

Nagle połączenie zostało odebrane. Annie serce prawie wyskoczyło z piersi.

- Tu Theo Grainger.

Zaląła ją fala błogości.

- Witaj, Theo.

-Niestety, nie mogę teraz odebrać telefonu, przez najbliższe miesiące nie będę osiągalny pod tym numerem - mówił nagrany na sekretarce głos. - Jeśli to nie jest nic pilnego, proszę zostawić wiadomość po sygnale.

- Nie! - jęknęła w rozpacz. - Nie!

A więc stało się najgorsze. Pomyliła się w swoich rachunkach, jej poświęcenie na nic się nie zdało. Theo pracy nie odzyskał, w dodatku wyjechał, a ona nie wiedziała dokąd.

Rozpląkała się. Cała rozdygotana nie mogła trafić palcami w odpowiedni przycisk. Nie dbała jednak o to, że jej szloch się nagrywa. Nie dbała już o nic.

Popełniła straszliwy błąd. Własnymi rękami zniszczyła ich szczęście.

Theo stał u stóp schodów wiodących na werandę domu w Southern Cross. Z najwyższego stopnia ponuro przyglądał mu się blondyn w jego wieku, przy czym spochmurniał dopiero wtedy, gdy Theo spytał o Annie, bo przedtem uśmiechał się do gościa życzliwie.

- Przyjechał pan aż z Brisbane tylko po to, żeby porozmawiać z moją siostrą?

Theo wszedł na werandę i wyciągnął rękę na powitanie.

- Tak. Pan pozwoli... Theo Grainger.

Pan domu co prawda podał mu rękę, lecz jego szare oczy spoglądały nieufnie.

- Reid McKinnon.

- Miałem nadzieję, że zastanę Annie. Czy jest w domu?

- To chyba nie pańska sprawa.

Właśnie takiego powitania Theo się obawiał.

- Annie może mieć na ten temat inne zdanie.

- Wątpię. Czy to pan do niej wydzwaniał, a ona nie chciała odbierać telefonów?

- Obawiam się, że tak.

W oczach Reida coś błysnęło.

- Jak widzisz, Grainger, ona nie życzy sobie z tobą rozmawiać. A jeśli to przez ciebie moja siostra znajduje się w takim stanie, to nie wiem, jak co rano patrzysz sobie w oczy w lustrze.

- W jakim stanie? - Głos Thea się zmienił. - Co się z nią dzieje?

Reid nie odpowiadał. Uznał rozmowę z intruzem za zakończoną i czekał na jego odejście.

- Gdzie jest Annie? - krzyknął Theo, tracąc panowanie nad sobą. - Czy coś się stało?

Cisza.

Theo walnął pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

- Czy nie rozumiesz, co ja do niej czuję? Myślisz, żejechałbym tysiąc kilometrów, gdyby mi na niej naprawdę nie zależało?

Reid zawahał się, lecz w tym momencie rozległo się szczekanie i skomlenie. Obaj obrócili się w kierunku samochodu. Dalmatyńczyk próbował wydostać się na ze-

wnętrz przez uchylone okienko od strony pasażera, a na drzwiczki wspinała się piękna collie, gwałtownie wymachując ogonem.

- To Lavender, prawda?

Reid obrzucił Thea zaskoczonym spojrzeniem.

- Skąd wiesz?

- Jak to skąd? Nie można poznać Annie, nie dowiadując się jednocześnie o jej psie.

Reid pokiwał głową.

- Lavender, spokój! - huknął. - Siad!

Jednak suka nie zwracała na niego uwagi i dalej rwała się do Basila, który rozpaczliwie drapał pazurami o szybę.

- Co w nie wstąpiło? - mruknął Reid.

Zeszli na dół, by uspokoić psy. Theo otworzył drzwiczki samochodu, Basil wypadł na zewnątrz. Ku zdumieniu obu mężczyzn ujadanie natychmiast ustało. Lavender z podekscytowaniem obwąchała owinięte żółtą tasiemką kółko u obroży Basila i nagle Theo zrozumiał, skąd to całe zamieszanie.

- Poczuela panią. To wstążka do włosów Annie.

Reidowi odjęło mowę. Popatrzył na obwąchujące się psy, potem wbił wzrok w ziemię, zastanawiając się nad czymś głęboko, wreszcie ponownie spojrzął na Thea i uśmiechnął się całkiem życzliwie.

- Wejdz do domu, pogadamy.

- Weź jeszcze jedną babeczkę. - Jessie McKinnon podsunęła córce talerz. - Prawie nic nie jesz.

- Dziękuję, mamó, ale nie mogę.

- Coś cię gnębi, prawda?

- Nie, wszystko w porządku.

W oczach Jessie zakreśliły się łzy.

- W ostatnich latach byłam dla was złą matką - wyznała nieoczekiwanie. - Zawiodłam was.

- Mamo, nie mów tak!

Chociaż Annie przez tych sześć lat dotkliwie brakowało matki, nie czuła się na siłach, by prowadzić taką rozmowę. W dodatku podczas pobytu w Aberfoyle zaczęła rozumieć, że mama nie bez powodu wróciła do rodzinnego kraju.

- Przecież sami namawialiśmy cię na wyjazd, ty nas tylko posłuchałaś.

Jessie splotła dłonie na kolanach i spuściła głowę.

- Nie pocieszaj mnie. Gdybym była lepszą matką, chciałabyś podzielić się ze mną swoim zmartwieniem, zamiast sama dźwigać ten ciężar. Obserwuję cię od początku, miźniejsz w oczach. Flora też to zauważyła. Widać po tobie, że jesteś nieszczęśliwa, Annie. - Podniosła wzrok na córkę. - Chyba nie zaprzeczysz?

- Nie - odparła cicho.

- Czy to z powodu mężczyzny, kochanie?

Annie zamknęła oczy, by powstrzymać łzy, i skinęła głową.

- Kochasz go?

Znów kiwnęła głową w milczeniu.

- A on nie odwzajemnia uczucia?

- Och, mamo, nie w tym rzecz! - gwałtownie zaprzeczyła.

Patrzyły sobie w oczy, siedząc przy kuchennym stole. Powoli zapadał zmierzch, a w słabnącym świetle niebieskie oczy Jessie wydawały się pełne zagadkowej mądrości. Annie zdawało się, jakby przekazywały jej zapewnienie: „Możesz mi zaufać, córeczko. Ja też bardzo dobrze wiem, czym jest cierpienie i potrafię cię zrozumieć”.

Albo współczucie mamy przeważyło szalę, albo po prostu nadeszła pora zwierzeń, ponieważ Annie poczuła, że musi opowiedzieć o Theo.

Kiedy skończyła, w kuchni było już zupełnie ciemno. Jessie wstała, podeszła do córki i przytuliła ją mocno.

- Moje biedactwo. Moja biedna, dzielna dziewczynka.

Annie napawała się ciepłem tego uścisku, ale kiedy mama wreszcie puściła ją i zaczęła się krzątać po kuchni, zapalając światła, zaciągając zasłony i sprawdzając, czy pieczeń w piekarniku już doszła, ogarnął ją niepokój.

- Może kieliszeczek sherry przed kolacją? - zaproponowała Jessie.

Annie skinęła głową, odgadując, że mama nie bez powodu sugeruje coś mocniejszego.

- Podjęłam słuszną decyzję, prawda? - upewniła się, gdy znów siedziały przy stole i raczyły się sherry. - Nie miałam wyboru, musiałam odejść od Thea.

Jessie zapatrzyła się w rubinowy trunek, a potem opiekuńczym gestem przykryła swą dłonią dłoń córki.

- Zachowałam się po bohatersku i jestem z ciebie dumna. W każdej sytuacji można postąpić na różne sposoby, a ty nie zawahałaś się zrobić tego, co uznałaś za najlepsze, chociaż było to dla ciebie najtrudniejsze ze wszystkiego. Zdobylaś się na ogromną odwagę i poświęcenie.

- Ale co? - wyszeptała zdenerwowana Annie. - Słyszę w twoim głosie, że jest jakieś „ale”. O co chodzi? Proszę, powiedz szybko, muszę wiedzieć!

- Cóż... Moim zdaniem, kochanie, popełniłaś jeden błąd, i to poważny.

-Jaki?

- Nie porozmawiałaś na ten temat z Theem.
 - Mamo, nie mogłam!
 - Rozumiem, jak się czujesz, lecz spróbuj spojrzeć na sytuację z jego strony.
 - Przecież cały czas to robię! Myślałam tylko o jego dobru. Przeze mnie stracił pracę, a to dla niego oznacza konieczność wyjazdu z Brisbane i ruinę całego dotychczasowego życia.
 - Do kompletu więc porzuciłaś go, nawet mu nie mówiąc, dlaczego.
 - Bo gdybym powiedziała, namawiałby mnie, żebym została.
 - A nie chciałaś zostać?
 - Jak możesz pytać? - Annie z jękiem schowała twarz w dłoniach. - Myślałam, że będziesz po mojej stronie.
 - Bo jestem, kochanie, ale znam cię dobrze i wiem, jak często działasz pod wpływem impulsu. Zrozum, nie byłaś wobec niego szczerą. Nie powtórzyłaś mu słów Claudii.
 - Nie uwierzyłby mi. Też bym nie uwierzyła, gdybym nie słyszała ich na własne uszy. Przecież to jest elegancka, piękna, inteligentna kobieta, która kieruje wydziałem filozofii, więc jak mogłaby być zazdrosna o głupią gęś z prowincji?
 - Nie doceniasz siebie, kochanie, ale zostawmy to na razie. Rzecz w tym, że nie dałaś Theowi szansy, by sam poszukał rozwiązania problemu.
 - No... nie dałam - wyjąkała Annie.
 - A przecież chodziło o jego życie, jego pracę i jego karierę. To on powinien zdecydować, jakie wyjście będzie dla niego najlepsze.
- Annie patrzyła na matkę ze zgrozą, a potem poderwa-

ła się i zaczęła nerwowo krążyć po kuchni. Czy to możliwe, by aż tak bardzo się pomyliła? Poświęciła się bez powodu?

Theo był dojrzałym, opanowanym i mądrym człowiekiem, filozofem, kimś, kto zajmował się znajdowaniem odpowiedzi na trudne pytania. A ona kim była? Narwaną dziewczyną, kierującą się emocjami, skłoną do wykonywania wielkich, lecz niepotrzebnych gestów.

- Boże, co ja narobiłam? - wyszeptała z przerażeniem.
- Straciłam go, i to wyłącznie z własnej winy!

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Theo stał w foyer hotelu „Hollydean Arms”, słuchając muzyki, gwaru i wybuchów śmiechu, dobiegających zza zamkniętych drzwi sali bankietowej. Trwało wesele Kane'a McKinnona, na którym musiała bawić się również Annie.

Umierał z pragnienia, by ją zobaczyć, lecz w żadnym wypadku nie mógł wtargnąć nieproszony na czyjeś wesele. Był gotów czekać na nią choćby i do rana.

Czekał więc na tę najważniejszą rozmowę w swoim życiu, doświadczając jednocześnie, że otrzymał lekcję, jakiej nie odebrał nawet u ukochanych filozofów: to, co stanowiło źródło największej radości, mogło też stać się źródłem największej udręki i cierpienia.

Nagle jedne z drzwi prowadzących do foyer otworzyły się i wyszedł z nich wysoki, barczysty mężczyzna w smokingu i z kwiatem w butonierce. Z wyraźną ulgą ściągnął muszkę. Podchwyciwszy spojrzenie Thea, uśmiechnął się, po czym wyznał konfidencjonalnie:

- Z przyjemnością wyskoczę z tych oficjalnych łańców. Usłyszawszy australijski akcent i ujrawszy niebieskie oczy uderzająco podobne do oczu Annie, Theo pospieszył z wyciągniętą ręką.

- Kane McKinnon, prawda?

- Aha.

- Moje gratulacje.
- Dzięki. - Pan młody przyjrzał mu się uważniej. - My się znamy?
- Nie. Jestem Theo Grainger. Reid mnie tu skierował. Na twarzy Kanea pojawił się szeroki uśmiech.
- A, więc to ty! - Serdecznie klepnął Thea w plecy. - Wiem wszystko, brat dzwonił wczoraj z życzeniami i opowiedział mi o tobie. Spodobałeś mu się.
- I wzajemnie.
- A jeszcze bardziej spodobałeś się mojej siostrze, co? Thea zaczęło coś dławić w gardle.
- Dlatego... dlatego tu jestem - rzekł z trudem. - Muszę z nią porozmawiać.
- Kane ponownie klepnął go po przyjacielsku.
- Widzę, że linie lotnicze ostatnio nieźle zarabiają na zakochanych Australijczykach. Dobrze wiem, przez co przechodzisz, stary. Słuchaj, właśnie idę się przebrać, bo zaraz zmywamy się z Charity w podróż poślubną, ale pokażę się jeszcze na weselu i znajdę Annie.
- Nie chcę sprawiać ci kłopotu ani jej przeszkadzać w zabawie. Ja... ja naprawdę mogę poczekać.
- Kane łypnął na niego wymownie.
- Komu ty próbujesz wciskać kit? Jasna sprawa, że nie możesz już dłużej czekać.

Jak długo zdoła jeszcze wytrzymać? Bolały ją mięśnie twarzy od zmuszania się do uśmiechu. W kościele było łatwiej, bo tam nikt się nie dziwił, że siostra pana młodego płacze ze wzruszenia, byłoby jednak niestosowne, gdyby ronila łzy również na weselu, gdzie wszyscy znakomicie się bawili.

Oczywiście cieszyła się szczęściem Charity i Kane'a, ale

ani na moment nie przestawała odczuwać bolesnej, zimnej pustki w swoim życiu. W dodatku sama do tego doprowadziła. Gdyby nie była tak głupio impulsywna... Myślała o tym bez przerwy, gdy wokół żartowano, śmiano się, a nawet gdy tańczyła kolejny taniec.

Ktoś, kto cierpi z powodu złamanego serca, nie powinien chodzić na wesela.

- Hej, Annie - zagadnął wesoło Kane, pukając ją w ramię.

- Co tu robisz? Miałaś iść się przebrać, przecież zaraz wyjeżdżacie.

- Tak, ale wróciłem po ciebie, bo w holu ktoś na ciebie czeka.

- Na mnie? - Ściągnęła brwi. - Przecież nikogo tu nie znam.

- Nie gadaj, tylko chodź. - Pociągnął ją za rękę.

Wstała, wygładziła sukienkę i zauważyła pytające spojrzenie mamy.

- Zaraz wracam - rzekła.

Jessie skinęła głową i wróciła do rozmowy ze stryjem panny młodej.

- Wyjdź tamtymi drzwiami - wskazał Kane.

- I co dalej?

- Zobaczysz. Muszę lecieć - rzucił i ku zaskoczeniu Annie skierował się ku innemu wyjściu.

Dziwne.

Szła, lawirując między rozbawionymi gośćmi i zastanawiając się, kto mógłby czegoś od niej chcieć. Mama i ciocia Flora znajdowały się na sali. Charity poszła się przebrać, lecz miała druhnę do pomocy, więc nie potrzebowała szwagierki. Ach, to pewnie Tim, młodszy brat Charity. Pracował jako kowboj w Southern Cross. Siostra przyjechała

do niego w listopadzie w odwiedzinach i w rezultacie zaczęła prowadzić Kanebwi gospodarstwo pod nieobecność Annie. Może planował typowy psikus dla nowożeńców: chciał podczepić puszki do samochodu, wypisać pianką do golenia na tylnej szybie jakąś śmieszoną sentencję? Ale przecież nie prosiłby o pomoc siostry pana młodego.

Pchnęła skrzydło podwójnych drzwi, wyszła do foyer i zamarła.

Oprócz recepcjonistek znajdowała się tam tylko jedna osoba.

Mężczyzna.

Wyglądał jak...

Theo.

I to naprawdę był on.

Serce przestało jej bić, nie mogła się poruszyć, odetchnąć... nic. Ale mogła patrzeć. Stała więc i chłonęła wzrokiem każdy szczegół.

Mogłaby go zjeść, tak cudownie wyglądał w kremowym swetrze i brązowych sztruksach, a dzięki tym swoim okularom w ciemnej oprawie wydawał się jeszcze bardziej seksowny. Jednak jego twarz była ściągnięta z niepokoju, a w oczach widniało cierpienie.

Minęły całe wieki - nie, tylko sekundy - nim Annie przemogła paraliż i drżąc cała, postąpiła krok w kierunku Thea. Potem jeszcze jeden.

- Cześć, Annie - odezwał się nieswoim, napiętym głosem.

- Cześć, Theo.

Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. A może śniła na jawie?

- Ja... przejeżdżałem i postanowiłem wpaść.

Przejeżdżał? Wpadł? Na jak długo? Na pięć minut? Na

pięć dni? Co on w ogóle mówił? Nic nie rozumiała. Powinna zasypać go pytaniami, ale nagle odpowiedzi przestały wydawać się aż takie ważne, bo przecież wydarzył się cud i Theo był przy niej.

- Jak dobrze znów cię widzieć.

- Naprawdę? - spytał niepewnie.

- Theo, prawie umarłam z tęsknoty za tobą...

Nie pytając już o nic, wyciągnął ramiona i Annie rzuciła się w nie bez namysłu. Nie, nie śniła. Pod miękkim swetrem, do którego przywarła twarzą, czuła ciepło ukochanego ciała, słyszała mocne bicie serca.

Uniosła dłoń i delikatnie dotknęła policzka Thea.

Równie delikatnie pogładził ją po włosach.

Nie zważając na zaciekawione spojrzenia przechodzących obok gości hotelowych, odsunęli się od siebie na tyle, by móc na siebie popatrzeć i trwali tak, tonąc wzajemnie w swoich oczach, zbyt uszczęśliwieni, zbyt pełni wdzięczności, by wyraziły to jakiegokolwiek słowa.

Potem znów przyłgnęli do siebie, napawając się samym dotykiem i obecnością. Wreszcie Annie uznała, że czas coś wyjaśnić.

- Dzwoniłam do ciebie do domu, ale włączyła się sekretarka, a ja nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Wszystko to moja wina - tłumaczyła chaotycznie. - Bałam się, że już nigdy więcej cię nie zobaczę. - Uniosła głowę, by znów ogarnąć zachwyconym spojrzeniem znajome rysy.

Uśmiechnął się, lecz był to tak drżący uśmiech, jakby Theo też z największym trudem panował nad emocjami. Tego było dla Annie już za wiele - oczy zaszyły jej łzami, wtuliła twarz w pierś Thea i rozplakała się, chociaż nie chciała psuć tego cudownego momentu. Theo jednak do-

brze ją rozumiał i w milczeniu trzymał w objęciach przez długi czas, z czułością głaszcząc Annie po głowie.

W końcu uspokoiła się nieco, otarła twarz dłonią, oczywiście drugą ręką nadal mocno otaczając Thea.

- Nie masz pojęcia, jak dobrze znów cię widzieć.

Obdarzył ją przepięknym uśmiechem.

- Już o tym wspominałaś... Ja też za tobą tęskniłem.

- Theo, tak mi przykro. Nie powinnam była zniknąć w ten sposób, ale myślałam, że to jedyne wyjście.

- Wiem.

- To wszystko moja wina.

- Nie, to wina Claudii.

- Mimo to źle zrobiłam, uciekając od ciebie, a potem nie odbierając telefonów. Wybaczysz mi?

- A jak myślisz?

Jego oczy lśniły. Annie miała nadzieję, że Theo ją pocałuje, lecz zamiast tego powiódł palcem wzdłuż dekoltu jej wrzosowej sukienki.

- Bardzo elegancko wyglądasz.

- Mieszkańcy Hollydean raczej nie doceniliby cielistej sukienki na cienkich ramiączkach.

- Nie wiedzą, co stracili...

Wymienili znaczące spojrzenia, obojgu zrobiło się gorąco. Annie umierała z pragnienia, by go pocałować, lecz przecież znajdowali się w foyer hotelu i... Właśnie!

- Jakim cudem znalazłeś się na weselu Kanea? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

- Twoi bracia są po mojej stronie, nie miałaś szans. Reid mnie tu skierował.

- Przecież nie przyjechałeś na drugą półkulę tylko po to, żeby mnie zobaczyć? Masz tyle problemów na głowie.

Nagrałeś na sekretarkę wiadomość, że długo nie będziesz dostępny pod tym numerem. Byłam zrozpaczona, gdy to usłyszałam. Przeszliśmy przez cały ten koszmar bez potrzeby. Nie odzyskałeś pracy...

- Odzyskałem.

-Jak to?!

- Stało się tak, jak przewidziałś. Ledwie Claudia dowiedziała się o naszym rozstaniu, przedłużyła mój kontrakt.

- To cudownie!

- Ale powiedziałem jej, że może go sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Annie aż zachłysnęła się ze zdumienia.

- Coś takiego! Chciałabym przy tym być! Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mówisz coś w tym stylu. Przecież zawsze zachowujesz się jak dżentelmen.

- No, nie zawsze... - mruknął, ogarniając ją chciwym spojrzeniem. - Annie, jeszcze nie rozumiesz? Jesteś dla mnie ważniejsza od tej pracy. Za nic nie mógłbym zostać na wydziale Claudii po tym, co nam zrobiła.

- Nie mów mi takich cudownych rzeczy w miejscu publicznym, bo się zapomnę i okażę ci wdzięczność w gorszym sposobie.

- Od tego jestem ja - stwierdził z mocą i nie dbając już o nic, zaczął ją namiętnie całować.

I długo nie przestawał.

- Nie masz pojęcia, jak mi ciebie brakowało - wyszeptwała wreszcie.

- Pokaż mi więc, żebyś wiedział - odszepnął, a wtedy Annie zaczęła go całować i długo nie przestawała.

Czuła, jak to, co było połamane, z powrotem zrasta się w całość.

- O, udało wam się znaleźć. I coś mi się zdaje, że się dogadaliście.

Oderwali się od siebie i spojrzeli w stronę Kanea. Zbiegał ze schodów, przebrany do podróży. Podeszedł do nich, ucałował siostrę w policzek, klepnął Thea po plecach.

- A w ogóle twoje nazwisko nie jest mi obce, stary.

- Theo jest filozofem - oznajmiła z dumą Annie.

- Filozofem? W takim razie to nie ten Grainger. Tamten był rugbistą, grał w reprezentacji Queenslandu.

Na twarzy Thea odbiło się zaskoczenie.

- Faktycznie występowałem w reprezentacji, ale to było dawno temu.

- Ha, wiedziałem! - Mrugnął do siostry. - Dobry wybór, Annie. Świetny skrzydłowy, biega jak wiatr. Wybaczcie, miło się gada i chętnie zostałbym dłużej, ale zaraz zejdzie na dół moja żona i pewnie będzie chciała od razu wyjeżdżać...

- Pewnie, że będę chciała!

Charity zbiegła ze schodów i podeszła ku nim bardzo elegancka, w długim czarnym płaszczu i z kolorowym szalem fantazyjnie owiniętym wokół szyi. Za nią spieszyła druhna ze ślubnym bukietem.

Annie przedstawiła Thea.

- Miło cię poznać. - Charity wzięła męża pod ramię. - Też powinnam powiedzieć, że chętnie zostałabym dłużej, ale i tak byście mi nie uwierzyli, prawda?

- Nie - zaśmiali się zgodnie Annie i Theo.

Rozeszło się, że państwo młodzi są już z powrotem na dole, goście weselni wysypali się więc z sali bankietowej do foyer, by ich pożegnać. Gdy Jessie McKinnon zauważyła, że córka trzyma za rękę przystojnego bruneta, w jej oczach błysnęło zainteresowanie.

- Theo? - spytała z dala samym ruchem warg.

Annie skinęła głową i wymieniła z mamą figlarne uśmiechy.

- Panna młoda zaraz będzie rzucać bukiet - zauważył Theo. - Chcesz się przyłączyć?

- Zdumiewasz mnie. Filozofowie nie powinni popierać podobnych przesądów.

- Masz rację. Zresztą nie musisz brać w tym udziału, już i tak mnie złapałaś.

Serce zabiło jej mocniej. To zabrzmiało prawie jak oświadczyzny!

- Myślisz, że ktoś zauważy, jak poszukamy sobie jakiegoś bardziej prywatnego kącika? - szepnął jej do ucha.

- Myślę, że nie. Moja mama cały czas nas do tego zachęca gestami.

Wymknęli się więc do opustoszałej sali bankietowej, gdzie Theo natychmiast porwał Annie w ramiona.

- Kocham cię.

- Och, Theo! Ja też cię kocham.

Wtulili się w siebie chciwie, całując bez opamiętania, żalując, że na razie nie mogą liczyć na nic więcej.

- Zabieram cię do Rzymu.

- Dokąd?!

Z uśmiechem cmoknął ją w czubek nosa.

- Dostałem półroczne stypendium naukowe na tamtejszym uniwersytecie. Jedziesz ze mną, bo, po pierwsze, kiedyś ci to obiecałem, a po drugie, nie chcę więcej tracić cię z oczu.

Wpatrywała się w niego w oszołomieniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Błędnie to zrozumiał, gdyż na jego twarzy odmalował się niepokój. Annie nie potrafiła oprzeć się pokusie, by się troszeczkę nie podroczyć.

- Ciekawa propozycja, ale niespodziewana, a ja podjęłam zobowiązanie noworoczne, że będę mniej impulsywna.

- Akurat teraz chcesz zacząć zachowywać się rozsądnie?

- W ramach dalszej argumentacji pocałował ją ponownie, tym razem bardzo słodko i uwodzicielsko.

- Przy tobie kobiecie nie jest łatwo wytrwać w swoich postanowieniach - wymruczała Annie. - Naprawdę zamierzam stać się bardziej rozważna.

- Kiedy to będzie bardzo rozważne - przekonywał. - Wszystko zostało już ustalone z Reidem. I z twoim psem.

- Słucham?

- Zostawiłem Basila w Southern Cross. Na jego widok Lavender od razu przestała być oswiała, więc nie musisz się o nią martwić. Wytrzyma te pół roku, ma towarzystwo. - Pochylił głowę, przesunął wargami po szyi Annie.

- Nawet jeśli odmówisz, porwę cię siłą.

- Nie ma potrzeby. Popłynęłabym do Włoch i wpław, żeby tylko być z tobą.

Przybyli do Rzymu wczesnym rankiem następnego dnia. Poprzedniej nocy najpierw Annie przedstawiła Thea mamie, która gorąco poparła ich plany, potem spakowali rzeczy Annie i pojechali do Londynu na lotnisko.

Wylądowali o świcie, dzięki czemu Annie po raz pierwszy zobaczyła Rzym w cudownym porannym świetle.

- Pewnie jesteś wykończona - rzekł Theo, gdy zamknęli za sobą drzwi wynajętego mieszkania.

- Skąd! Jestem zbyt szczęśliwa i podekscytowana, by myśleć o zmęczeniu. Ależ mi się tutaj podoba!

Zachwyciły ją drewniane belki pod sufitem i podłoga wyłożona dużymi płytami z terakoty. Małeńka kuchnia

oraz przestronny pokój dzienny zostały urządzone prostymi meblami ze starego drewna. Pod oknem z zamkniętymi drewnianymi okiennicami stały dwa krzesła i stół, a na nim czekała misa pełna świeżych, pachnących gruszek.

W sypialni znajdowało się łóżko przykryte białą kapą.

Theo ujął Annie za rękę i zaprowadził na maleńki balkon, na którym rosły w doniczkach różowe pelargonie.

- A co powiesz na ten widok?

Ujrzała w oddali porośnięte cyprysami wzgórze, potem jej wzrok prześlizgnął się po spadzistych dachach domów, wśród których gdzieś widniały kopuły i wieżyczki. Pod balkonem zobaczyła nieduży brukowany plac z fontanną. Z pysków dwóch kamiennych delfinów wesoło tryskała woda. Dookoła stały kawiarniane stoliczki i krzeselka.

- Przecież to jest to miejsce, o którym mi mówiłeś! To Trastevere! To widok z twojego okna!

- Podoba ci się?

- Ogromnie! - Pocałowała Thea w usta, potem przesunęła wargami po jego policzku...

Położył dłonie na jej biodrach, przyciągnął mocno do swoich i całował jej czoło, nos, brodę, włosy...

- Czy masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

Powiedział jej już o swoim uczuciu i w Hollydean, i na lotnisku w Londynie, i w samolocie, ale nie miała nic przeciw temu, by usłyszeć to ponownie.

- Ja kocham cię bardziej - odparła.

- Wyjdiesz za mnie?

Cud, że jej serce nie pękło z radości. Mimo to zawahała się i odwróciła wzrok. Był jeden mały problem...

- Kochanie, naprawdę możesz odpowiedzieć tak impulsywnie, jak tylko chcesz.

Z powrotem podniosła na niego wzrok.

- Theo, wyszłabym za ciebie tutaj, zaraz, ale...

- Ale co? - Głos mu się załamał ze zdenerwowania.

- Obiecałam tacie przed jego śmiercią, że wezmę ślub w Southern Cross. Pewnie to była lekkomyślna obietnica, lecz złożyłam ją chętnie, bo wymarzyłam to sobie jeszcze jako dziewczynka.

Na jego twarzy odbiło się ogromne rozczarowanie, którego nie zdołał ukryć, lecz zaraz potem rzekł z rycerskim uśmiechem:

- Twoje marzenia są dla mnie święte. Ale przynajmniej możemy się tu zaręczyć. Jeszcze dzisiaj pójdziemy kupić pierścionek. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że Annie McKinnon jest moja.

Odwrócili się plecami do słońca, które wspinało się coraz wyżej, zalewając Rzym ciepłym, pomarańczowym blaskiem, i weszli z powrotem do maleńkiego mieszkanka, które teraz stanowiło ich dom.

Annie jeszcze nigdy nie czuła się równie szczęśliwa.

A to był dopiero początek.